Nr. 37 (1496). Warszawa, 11. Września 1909 r. Rok XXIX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja Rysia 3. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Manowce ugody.

Reakcyjna i biurokratyczna prasa rosyjska ze skwapliwością wielce zrozumiałą pochwyciła artykuły pana Straszewicza w *Słowie* p. t. „Wiec i bojkot", a starannie wykreśliwszy wszystko, co autor mówił o nieodzownej potrzebie utrzymania szkoły polskiej, o konieczności spolszczenia uniwersytetu warszawskiego—tak bijącej w oczy, że wedle optymistycznych przewidywań p. Straszewicza „niepodobna, by tego nie uznała kiedyś i opinja rosyjska, a w końcu rząd"—cytuje z lubością wszystko, co powiedziano dla jaknajsurowszego potępienia zwolenników bojkotu.

Takiego materjału dostarczył jej p. Straszewicz w nadzwyczajnej obfitości i w bardzo dobrym gatunku; dał jej np. możność cytowania głosu polskiego, który twierdzi, że szkół polskich jest za dużo, że społeczeństwo polskie utrzymać ich nie może, że w interesie poziomu wychowania publicznego u nas trzeba, aby lichsze z nich upadły, a czemu sprzyjać może pożyteczna a żadnym bojkotem niekrępowana konkurencja szkoły rządowej, która wprawdzie nie jest lepsza, jest — jak sam p. Straszewicz przyznaje — gorsza, ale daje prawa.

Tu należy bolesny okrzyk p. Straszewicza zwrócić do niego samego:

„Takiej krzywdy nam wrogowie wyrządzić nie zdołali!"

Czyż p. Straszewicz istotnie uznaje, że szkół polskich jest za dużo na nasze potrzeby, czy może tylko na nasze środki?

Cóżby więc powiedział, gdyby się było ziściło jednomyślne pragnienie naszego społeczeństwa i bylibyśmy wraz z autonomją zdobyli i szkolnictwo własne, polskie na wszystkich stopniach? Przecież to nie byłaby chyba klęska?

Czy wtedy nie byłoby najpilniejszą naszą potrzebą kulturalną zakładanie coraz większej ilości szkół dla tępienia ciemnoty i analfabetyzmu, w którym grzęźnie nasze społeczeństwo?

Nie mówi zapewne p. Straszewicz o szkołach ludowych, lecz o szkołach średnich; ale czy i tych jest naprawdę za wiele w stosunku do ilości tych rodzin, które dzieci swe kształcić pragną? Albo czy jest to nieszczęściem, że kształcą się w nich dzieci stróżów, robotników, chłopów, ubogich oficjalistów — a nietylko dziatwa rodzin bogatych?

Jeżeli dosłownie brać wywody p. Straszewicza możnaby wysnuć z nich taki wniosek: Nauka w języku ojczystym jest nietylko dobrodziejstwem, jest istotną potrzebą z humanitarnego i pedagogicznego punktu widzenia, jednakże leży to w tradycyjnie ustalonym porządku, że wszelkiego rodzaju „hołota" pozbawiona środków musi nietylko zrzec się marzeń o dobrodziejstwach, lecz potrzeby swe poniżej minimum redukować, zarówno gdy chodzi o odżywianie, ubranie, powietrze i światło w mieszkaniu, jak i w sferze kulturalnej i pedagogicznej. Nie trzeba „żyć nad stan" ani pod materjalnym, ani pod duchowym względem. A więc niech się „hołota" polskiej szkoły wyrzeknie, a wtedy „państwo" zachowają tylko tyle dobrych szkół, ile ich potrzeba dla pańskich dzieci.

Wróćmy w krainę tych marzeń, których nie wyrzekł się jeszcze i p. Straszewicz.

Uwierzmy mu na słowo, że „p. Szwartz nie wieczny", że opinja rosyjska i rząd uznają konieczność polskiego uniwersytetu w Warszawie, polskiego szkolnictwa na całym obszarze kraju, lub zgoła autonomji dla Królestwa Polskiego.

Naturalnie w takim razie obowiązkiem naszym byłoby się postarać o dostateczną w stosunku do liczby mieszkańców ilość uczelni wszelkiego stopnia do-

stępnych dla wszystkich warstw. Jakim kosztem zdobylibyśmy je, ktoby na nie łożył? Czy osiągnęlibyśmy ten skutek, gdyby każdy wydatkował jedynie w miarę swych środków na wychowanie własnych dzieci? Państwo dla siebie, hołota dla siebie fundując gmachy szkolne i opłacając siły nauczycielskie? Bynajmniej, nigdzie tak się nie dzieje. Wszędzie w tej dziedzinie wprowadzono już zasadę: każdy wedle swych środków, każdemu wedle jego potrzeb, t. j. z podatków proporcjonalnych do stopnia zamożności kontrybuentów utrzymuje się szkoły, w których biedne dzieci kształcą się bezpłatnie.

„Nasze społeczeństwo" musiałoby się też na ten heroizm zdobyć i okazałoby się wówczas, że je stać na utrzymanie szkół, że nie jest tak biedne, jak sobie wyobraża. Tylko obowiązek moralny zamienionoby na obowiązek prawny, podatek szkolny egzekwowałby komornik, wyręczając nawoływanie tej prasy, która dowodzi, że na szkoły łożyć trzeba, a zamykając usta tej, co utrzymuje, że nas na szkoły nie stać.

Prawda, moglibyśmy wtedy oszczędzić coś nie coś na różnego rodzaju „laskach młocińskich" i tym podobnych zbytkach; mniejby się może polskich pieniędzy przelewało na wyścigach w kraju i zagranicą, no — i mniej zadowolenia wewnętrznego i zewnętrznych poklasków byłoby udziałem tych, którzy raczą tańczyć lub kwestować na „wpisy".

Prawda i to, że szkoła nie cierpiałaby już jak dziś na „brak praw". A czyż na ten brak cierpi tylko szkoła i tylko szkoła polska? A nauczyciele, którzy otrzymali dyplomy z „prawem" nauczania historji i gieografji, czyż mogą z tego prawa korzystać?

Pan Straszewicz się łudzi, że ustanie „bojkotu" (który on nie wiadomo w jakiej intencji utożsamia z „terorem", tak jak „zjazd" z „wiecem") umożliwi zyskanie „podstawy prawnej" dla szkoły polskiej. Jest to znane nam ugodowe marzycielstwo! Jakaż czuła i troskliwa opatrzność może nam dać to, czego nikt i nic w całym państwie rosyjskim nie ma?! Wszystkie „podstawy prawne" są w Rosji efemerydami; „dni ich—jak dni motylka"; jedno pociągnięcie pióra powołuje je do życia, drugie rozwiewa w proch.

W epoce, gdy i Duma państwowa, gdy sama nawet konstytucja w Rosji i wszystkie na jej zasadzie powstałe instytucje i organizacje każdej chwili powtarzać sobie muszą Hamletowskie „wiemy że jesteśmy, ale nie wiemy, co się z nami stanie" — zakładanie gwarancji istnienia i rozwoju szkolnictwa polskiego na jakiejś grzecznej wymianie słów, na takim lub innym tonie głosów młodzieży lub prasy, na platonicznych wynurzeniach lub akademickich rezonowaniach — to zaiste nazbyt naiwny optymizm.

Zanim dzięki wspólnym wysiłkom rozumniejszych, głębiej i dalej patrzących grup rosyjskiego i polskiego społeczeństwa uda się zdobyć zasadniczą „podstawę prawną" — dla wszelkich szczegółowych prawnych gwarancji, nie pozostaje nic innego jak usiłowanie trwania i przetrwania.

Kwestja polska w oświetleniu p. Dmowskiego.

I.

Społeczeństwa europejskie wiedzą bardzo mało o Polakach, ich obecnym położeniu politycznym, dążeniach i t. p. dlatego też każda większa praca przedmiotowi temu poświęcona, w języku obcym bardzo rozpowszechnionym, — posiada ważne znaczenie, staje się bowiem źródłem informacyjnym dla szerokich kół cudzoziemców.

Taki właśnie charakter ma świeża książka pana Dmowskiego w przekładzie francuskim p. t. „La Question polonaise" [1]). Nie jest to praca zupełnie nowa, powstała bowiem z innej tegoż autora wydanej w roku zeszłym po polsku p. t. „Niemcy, Rosja i kwestja polska". P. Dmowski przerobił ją znacznie dla francuskiego wydania i przystosował do chwili obecnej. Do pracy powyższej dodane są dwie przedmowy znanego pisarza francuskiego Anatola Leroy-Beaulieu, oraz tłumacza, p. W. Gasztowtta.

[1]) Librairie Armand Colin. Paris 1909.

---

2)

Sibilla Aleramo.

KOBIETA

przełożyła z włoskiego

STANISŁAWA GALLONE.

(Ciąg dalszy).

II.

Pewnego dnia, kończyłam wówczas piątą klasę, zastanawiałam się nad projektami ojca w sprawie dalszego mego wykształcenia, gdy przyszedł on do domu o godzinę wcześniej niż zwykle a za nim woźny biurowy wniósł jakąś skrzynkę. Po odejściu woźnego ojciec uniósł mnie w ramionach aż ku swej twarzy, poczym opuściwszy mnie na ziemię, powiedział do mamy goniącej za nim niespokojnym wzrokiem: „skończone! Zerwałem wszystko. Nareszcie oddycham"!

Od dłuższego czasu obaj wspólnicy znosili się z trudnością. Dwa usposobienia tak różne nie mogły pogodzić się; jeden rzucał się w coraz śmielsze spekulacje — drugi coraz bardziej ściągał cugle. Z drugiej strony ojca nużyło to życie biurowe, metodyczne, tymbardziej, że nie dawało mu nadzwyczajnych zysków. Drobna przyczyna wywołała tego dnia decydującą sprzeczkę między dwoma szwagrami.

Ojciec mój, mając lat trzydzieści sześć musiał rozpoczynać nanowo walkę o byt, dzięki swej żądzy coraz to nowych wrażeń i pragnienia niezależności.

Tego samego ranka wyszedł ze mną na długą przechadzkę; niewyraźnie widzę plac Broni, przez który przechodziliśmy w mgle jesiennej; ojciec mówił prawie sam do siebie; ogarniało mnie dziwne uniesienie: Ameryka, Australja — Ach, gdybyż naprawdę ojciec w świat mnie zabrał! Robił również projekty mniej awanturnicze: wrócić do profesorstwa, założyć jakieś przedsiębiorstwo, lecz zawsze poza Medjolanem. Miasto które dotychczas kochałam, wydało mi się teraz nie dozniesienia: kto wie jakie cuda czekają mnie gdzieindziej! I nagle zdało mi się, że mi lat i powagi

Uczony francuski występuje jako rzecznik porozumienia polsko-rosyjskiego, opartego na wzajemnych ustępstwach; znać jednak, że pomimo dobrych chęci nie zgłębił przedmiotu, o którym pisze, i że nawet czytał nieuważnie książkę p. Dmowskiego. Np. twierdzi [2]), iż w czasie największego natężenia ruchu wolnościowego — Polacy żądali tylko „skromnej autonomji administracyjnej". Wiadomo, że chodziło o szeroką autonomję polityczną,a nie administracyjną tylko, p. Dmowski w pracy swej mówi wyraźnie o autonomji politycznej, nie jednak nie wspomina o jej treści.

Przechodząc do kwestji stosunków polsko-rosyjskich, Leroy-Baulieu mówi, iż nie jest rzeczą cudzoziemca określać warunki trwałego porozumienia między dwoma bratnimi narodami, że więc nie może sformułować minimalnych żądań Polaków; zdaje mu się jednak, iż w każdym razie powinni mieć zapewnione używanie języka ojczystego w szkołach i uniwersytecie, oraz w administracji miejscowej i sądach. Widocznie nie pragnął wypowiedzieć się zupełnie jasno w sprawie polskiej w całej jej rozciągłości, zwłaszcza co do stosunków polsko-rosyjskich, zato chętnie przyznaje na ogół sprawie polskiej charakter międzynarodowy ze względu na jej doniosłość w wiekowej walce Słowian z Niemcami.

Praca p. Dmowskiego porusza bardzo wiele kwestji i omawia nie tylko sprawę polską i stosunek jej do Niemiec, Austrji i Rosji, lecz także najważniejsze zagadnienia polityki zagranicznej państw europejskich. Okoliczność ta wpłynęła ujemnie na jej charakter; istotnie niepodobna bowiem na trzystu z górą stronach małego formatu scharakteryzować: odrodzenia narodu polskiego w ostatnich latach kilkudziesięciu, stanu obecnego oraz najbliższej przyszłości państwa i narodu rosyjskiego, wreszcie wzajemnego stosunku państw europejskich, akcji dyplomatycznej w końcu XIX i na początku XX wieku.

P. Dmowski musiał z konieczności być ogólnikowy. Cała też jego praca robi wrażenie utworu powierzchownego, w którym najważniejsze niekiedy twierdzenia nie są dostatecznie umotywowane.

Były prezes Koła polskiego przedstawia kwestję polską na tle spraw ogólno europejskich. Po krótkiej charakterystyce położenia Polaków w Niemczech, Austrji i Rosji, przechodzi do przedstawienia dominującego znaczenia Niemiec w polityce europejskiej i wynikłych stąd konsekwencji w ogólnej akcji dyplomatycznej. Tę właśnie część pracy mógł pan Dmowski bez żadnej straty dla czytelników znacznie skrócić, gdyż to co w niej opowiada jest bardzo dobrze znane cudzoziemcom z poważnych dzienników europejskich; powinien był natomiast rozszerzyć rozdziały o ewolucji stosunków społeczno-politycznych na ziemiach polskich, oraz współczesnym kryzysie w państwie rosyjskim.

Autor usiłuje uwydatnić doniosłe znaczenie kwestji polskiej wykazując, iż walka narodu naszego z Niemcami może przy pewnych warunkach powstrzymać ich zwycięski pochód na Wschód i w ten sposób wzmocnić Rosję i uchronić Europę od ich hegemonji. Aby walka nasza z Niemcami mogła być skuteczna, konieczną rzeczą jest gruntowne zreformowanie stosunków polsko-rosyjskich. Oto główna myśl książki p. Dmowskiego. Cały neoslawizm autora wypływa z tego źródła.

Powyższe rozumowanie jest zbyt prostolinijne; stosunki polsko-rosyjskie, rosyjsko-niemieckie i niemiecko-polskie są bardziej złożone, aniżeli się autorowi wydaje.

Niemcy nie mają żadnego poważnego interesu w osłabianiu Rosji, która bynajmniej nie stoi na przeszkodzie rozwojowi ich potęgi państwowej i nie zagraża ich polityce kolonjalnej, która nabiera dla nich coraz większego znaczenia. Państwo prusko-niemieckie nie ma też powodu pragnąć przyłączenia do siebie tej albo innej części terytorjum Rosji. Obecnie Niemcy są państwem naogół bardzo jednolitym pod względem narodowościowym, — charakter ten utraciłyby, gdyby przyłączyły do siebie Królestwo i Litwę, a nawet prowincje Nadbałtyckie, w których Niemców jest zaledwie 200,000 na 3,000,000 ludności. Dla Niemiec daleko korzystniejsze jest zdobywanie polityczne, albo chociażby ekonomiczne rozległych terenów w innych częściach świata. Na zagarnięcie Królestwa tylko wtedy mogłyby się zdecydować, gdyby ono miało szansę stania się niezależnym państwem. Dla przemysłu niemieckiego—rosyjski nie jest konkurentem. Dynastyczne interesy Niemiec wymagają utrzymania w Rosji „starego porządku", albo takiego „nowego", któryby się faktycznie mało co różnił od tamtego. Wszelka zaś porażka Rosji byłaby nowym ciosem dla „starego porządku".

Uwzględniwszy to wszystko, trzeba przyjść do przekonania, że Rosja nie ma powodu obawiać się

[2]) Patrz str. XVI.

---

przybyło. Czyż nie byłam powiernicą ojca? Projekt zostania w niedalekiej przyszłości małą studentką rozwiewał się. Być może zmuszoną będę pracować, by pomagać rodzinie... W domu, mama przeciwnie, była jakby obłąkana. Czego obawiała się? Była młodą i ona, młodszą od ojca: my dzieci byłyśmy zdrowe i silne... Ojciec napewno pragnął widzieć ją bardziej odważną!

Nie uspokoiła się nawet wtedy, gdy pewien bogaty przemysłowiec ofiarował ojcu miejsce dyrektora przy budowie fabryki chemicznej w pewnym małym miasteczku na południu Włoch. Ze strony ojca odwagą było przyjęcie pracy dotychczas mu obcej. Jego czarujący uśmiech podbił kapitalistę. Warunki były znakomite, miejscowość pełna słońca. Na kilka lat. Ojciec nie lubił patrzeć daleko w przyszłość. Chwilowo czuł się szczęśliwym. I nie zwracając uwagi na obawy matki mej, postanowił wyjazd na wiosnę.

Słońce! Słońce! Ileż promieni oślepiających! Lśniło się wszystko w miejscowości do której przyjechałam; morze było wielką falą srebrzystą, niebo nieskończonym uśmiechem nad mą głową, nieskończoną lazurową pieszczotą dla oczu, którym poraz pierwszy objawiła się piękność świata. Czym były zielone łąki Piemontu, wzgórza, nawet Alpy, które widziałam w dzieciństwie, i ciche jeziora i piękne ogrody w porównaniu z tą wsią zalaną blaskiem, z tą przestrzenią bez granic nade mną i przede mną,z tym pełnym,szerokim oddechem wody i powietrza?

Wchłaniałam spragnionymi płucami to czyste powietrze, ten powiew słony, biegałam pod palącymi promieniami słońca wzdłuż wybrzeża; poddawałam się falom na piasku i zdawało mi się, że lada chwila stanę się jednym z tych pięknych, białych ptaków, które skrzydłami pieściły powierzchnię morza i znikały na horyzoncie. Czyż nie byłam do nich podobną?

Och, niezamącona rozkosz tego lata! Och, moja młodość dzika! Miałam dwanaście lat. W osadzie, dumnie przybierającej nazwę miasta, były jedynie szkoły elementarne. Nauczyciel, przyjęty dla mnie, szybko został zwolniony, gdyż nie mógł mnie nauczyć nic ponad to, co już umiałam. W upalne popołudniowe godziny sama w pokoiku, który obrałam sobie za pracownię, rzucałam okiem, lecz bez entuzjazmu, na podręczniki fizyki i botaniki i na gramatyki cudzoziemskie, dane mi przez ojca; wychodziłam na balkon, z którego widziałam na placu przy kawiarni i aptece

zbytnio Niemiec. Że tak jest istotnie, widać z całego zachowania się państwa Hohenzollernów wobec Rosji.

Naiwnie jest też przekonywać rząd rosyjski, że dla zbawienia państwa od niebezpieczeństwa niemieckiego powinien zmienić swą politykę względem Polaków.

Na powyższe argumenty nacjonalistyczny rząd rosyjski może zawsze odpowiedzieć innymi argumentami. Istotnie też oficjalni i nieoficjalni jego publicyści twierdzili i twierdzą, że zmiana systemu polityki rosyjskiej w Królestwie wzmocniłaby Polaków kulturalnie i rozszerzyłaby ich wpływ na ziemie litewsko-ruskie, co dla państwa nie jest pożądane.

Należyte uregulowanie stosunków polsko-rosyjskich ma niewątpliwie doniosłe znaczenie dla Rosji, jako państwa; nie dlatego jednak żeby się musiała obawiać Niemiec, lecz głównie ze względu na stosunki wewnętrzne, potrzebę ładu i zmniejszenia jałowych walk pochłaniających wiele energji, które przy dalszym trwaniu takiej polityki, mogą na tle ogólnego kryzysu państwowego okazać się jeszcze bardziej szkodliwe, aniżeli dziś.

Zresztą polityka rządu rosyjskiego wobec nas zależeć będzie głównie od sił tych stronnictw rosyjskich, polskich i innych, które dążą do gruntownego przekształcenia istniejących stosunków w całym państwie.

P. Dmowski ubolewa, że Austrja w swej wewnętrznej i zewnętrznej polityce jest ciągle jeszcze państwem przeważnie niemieckim, ostrzega też przed „iluzją”, że pod tym względem może być prędko inaczej.

Niewątpliwie przynależność dynastji Habsburgów do narodowości niemieckiej, istnienie w Austrji całych prowincji niemieckich pociąga za sobą ważne konsekwencje, nie należy ich jednak zbytnio przeceniać tymbardziej, że historja ostatnich lat kilkudziesięciu wykazuje w Austrji stopniowe zmniejszanie się przewagi Niemców.

Idąc śladem publicysty węgierskiego Reycha — p. Dmowski rozwodzi się nad ciążeniem Niemców austryjackich ku państwu Hohenzollernów i dochodzi do paradoksalnego twierdzenia, że Austrja jest czymś w rodzaju przedniej straży Niemiec, że nawet jej zdobycze, jak np. aneksja Bośni i Hercegowiny wychodzą na korzyść nie tyle jej samej, ile raczej potężnemu jej sojusznikowi. Fantazja p. Dmowskiego w tej dziedzinie jest bogata.

Przedewszystkim część tylko Niemców austryjackich ciąży ku monarchji Hohenzollernów, i to bynajmniej nie największa. Znany publicysta i poseł Renner w jednej ze swych prac słuszną zwrócił uwagę na to, że bynajmniej nie jest korzystne dla Niemców austryjackich wchodzenie w skład państwa Niemieckiego, w którym interesy ich wobec interesów pruskich odgrywałyby rolę podrzędną.

Mieszkańcy Wiednia i wogóle Austrji Dolnej i Górnej zawsze odgrywać będą bardzo wybitną rolę w państwie Naddunajskim i dlatego nie mają żadnego powodu marzyć o zerwaniu z nim.

Pragnąć zostać obywatelami monarchji Hohenzollernów mogą jedynie Niemcy czescy i ci, którzy zamieszkują mieszane pod względem narodowościowym, prowincje. Sama dynastja Habsburgów, mimo iż jest niemiecka, nie ma żadnego interesu stać się pokorną wykonawczynią woli Hohenzollernów. Pan Dmowski może się więc uspokoić i nie oceniać tak tragicznie przyszłego losu Austrji. Sam zresztą wskazuje na to, że austryjacki następca tronu, arcyksiąże Franciszek Ferdynand dąży do uniezależnienia polityki monarchji od potężnego sprzymierzeńca, i że fakt ten można było z górą przewidzieć. Zwraca też uwagę, że narody słowiańskie w Austrji dążyć będą do osłabienia jej sojuszu z Niemcami.

Austro - Węgry tworzą dualistyczny organizm państwowy, w którym dotychczas Niemcy i Węgry mają znaczenie dominujące. Jednakże Niemcy w Austrji nie mają już obecnie tego znaczenia, co Węgry w monarchji Św. Szczepana.

Reforma wyborcza na Węgrzech podkopie przewagę Madziarów i wzmocni Chorwatów, Słowaków, Rumunów, co znowu pośrednio zmniejszy znaczenie Niemców w Austrji, gdyż spotęguje dążności narodów słabszych do uzyskania słusznych praw.

Austrja wzmacnia się coraz bardziej i uniezależnia od Niemiec.

(D. n.) *Ludwik Kulczycki.*

Głos trwogi z krainy junkrów.

Zaczyna to już wchodzić w zwyczaj, że polscy publicyści chwytają za pióro, by radami i przestrogami darzyć przedstawicieli panującej narodowości, zaklinając ich, by w imię własnego dobra hamowali swe antypolskie zapędy. Takiego apostolstwa podjął się

---

grupy próżniaków, jakąś wieśniaczkę przytłoczoną wielkim ciężarem, oberwanego chłopca, łżącego dźwięcznym i niezrozumiałym językiem swego towarzysza. Przed zachodem ukazywały się żagle barek, wracających z połowu; zbliżały się, zabarwione czerwienią, jedna za drugą; głosy rybaków nieraz dobiegały do mnie; odróżniałam rytmiczny okrzyk tych, którzy barkę przyciągali do brzegu.

Szłam wówczas na wielki, ogrodzony plac przy kolei, na którym z zadziwiającą szybkością powstawała fabryka; ojciec spędzał tu prawie cały czas swój. Od czasu do czasu dawał mi drobne polecenia, które wykonywałam ze drżeniem, lecz i z zadziwiającą dokładnością. „Później, kiedy już wszystko będzie uporządkowane, będziesz moją sekretarką: chcesz?”

Dawna moja nieśmiałość ustępowała rodzącej się odwadze. Być może ojciec chciał mi tym wynagrodzić przerwane studja. Lecz ja nie żałowałam ich. Przeciwnie, ogarniał mnie rodzaj dumy na myśl, że biorę udział w życiu, że stykam się z faktami bardziej urozmaiconymi i ciekawszymi niż te, które spotykałam w książkach.

Robotnicy, piękni, smagli wieśniacy, którzy przychodzili szukać pracy, dziewczęta, zręcznie wspinające się na rusztowania z kubłami wapna na głowie, uśmiechali się do mnie. Zaciekawiali mnie i wzbudzali sympatję. Powtarzałam rodzeństwu ich dziwne imiona i zastanawiałam się, czy potrafiłabym w stosunku do nich być „panią” tak jak byłam w stosunku do służby.

Ojciec był rozkazującym, nieugiętym, zdumiewająco czynnym i energicznym. Kiedy nieraz, wieczorem po obiedzie, wychodziliśmy wszyscy z nim na przechadzkę, mieszkańcy przyglądali się nam z mieszaniną zachwytu i obawy. Znajdowano, że matka moja miała twarz Madonny i kobiety szeptały błogosławieństwa dla jej dzieci.

Dziękowała nieśmiałym uśmiechem, mała i drobna w swej skromnej sukni. Zdawało mi się, że i ona w takich chwilach była zadowolona. W jej oczach czytać można było szacunek dla towarzysza otoczonego nowym urokiem.

Przypominam sobie fotografję mą z roku następnego. Byłam już stałą urzędniczką w fabryce. Brzydki mój strój składał się: z żakietu prostego kroju, pełnego kieszonek: do zegarka, notesu, ołówka i z krótkiej spódniczki. Na czole wiły mi się krótko obcięte

w swoim czasie pan Turno, potym czytaliśmy list pana Piltza do kierowników polityki rosyjskiej, od kilku miesięcy zaś cieszy się pewnym rozgłosem broszura p. Fr. Morawskiego, pełna zdrowych napomnień i ostrzeżeń dla — junkrów pruskich.

Gdyby chodziło o informowanie i oświecenie opinji publicznej rosyjskiej lub niemieckiej o istotnym stanie sprawy polskiej, gdyby celem tych publikacji było zjednanie sobie sprzymierzeńców wśród tych odłamów społeczeństwa, które mogą mieć z nami wspólne polityczne interesy — przedsięwzięcia takie należałoby gorąco popierać. Jest rzeczą oczywistą, że zarówno w rosyjskim jak niemieckim narodzie istnieją potrzeby i dążenia, które się wprawdzie z naszymi nie pokrywają ale są z nimi równoległe, a biorą początek w tych klasach lub grupach społecznych, którym prądy reakcyjne — wrogie dla nas — dają się również dotkliwie we znaki.

Jednakże ani p. Turno, ani p. Piltz, ani p. Morawski nie na ich użytek eksploatują swoją mądrość polityczną. Przeciwnie, próbują oni dokonać cudownego nawrócenia twórców i inicjatorów wrogiego nam systemu. w tym samym naiwnym złudzeniu co owa mysz w bajce, która kotowi zalecała wstrzemięźliwość i wegietarjanizm.

Zdaje się, że krótkowzroczność i naiwność, to grzechy pierworodne naszej polityki realnej, gdziekolwiek ona światło dzienne ujrzy.

Pan Morawski wzruszony jest do głębi złowrogimi znakami, zjawiającymi się na słonecznym dotąd horyzoncie pruskiego konserwatyzmu. Jakkolwiek na razie jeszcze panowanie jego jest bezsporne i niezachwiane, jednakże... „zbliża się dzień". [1])

Ale konserwatyści sami sobie winni; czemuż dali się unieść ślepemu zapędowi antypolskiej naganki i naruszyli świętą i nietykalną zasadę własności przez uchwałę o wywłaszczeniu?!

To się zemści, może nawet w niedalekiej przyszłości. Już zdala dochodzi pomruk burzących się tłumów chłopstwa, głodnego ziemi a zbałamuconego samym hasłem wywłaszczenia. Już niemieccy koloniści w Poznańskim coraz częściej śpiewają buntowniczą piosenkę „Hol der Teufel die Barone" (Bierz licho baronów!) z niebezpiecznym komentarzem:

„Ob sie deutsch sind oder Polen,
Alle soll der Teufel holen".
(Czy oni Niemcy czy Polacy,
Wszystkich niechaj djabli biorą.)

Chłop niemiecki w tym razie nie ma przesądów narodowościowych i — jak widzimy — Polakom równouprawnienie przyznaje. Pan Morawski jednak pisze swą broszurę nie dla chłopów niemieckich, tylko właśnie specjalnie dla owych baronów, którzy niebacznie interes swój klasowy złożyli na ołtarzu antypolskiego Molocha. Ta ich lekkomyślność przyśpieszy ich zgubę. Póty póki smaczną i tłustą pieczeń osobistych korzyści piekli przy żywo buchającym ognisku praw antypolskich i ceł zbożowych — pan Turno i pan Morawski nic im nie mieli do powiedzenia. Ceny ziemi szły w górę; ceny zboża i mięsa dochodziły do wymarzonej wysokości, dobrze się działo „naszym" junkrom i „waszym". Ale o zgrozo! junkrowie pruscy raz jeden tylko zachorowali na idejowość. Izba posłów, owa konserwatywna izba landratów uchwaliła wywłaszczenie, a izba panów, złożona nieomal wyłącznie z arystokracji władającej ogromnymi obszarami ziemi, po dość słabym oporze uległa. Ta „ofiara" złożona na ołtarzu państwowości pruskiej jakoby zagrożonej przez polską własność ziemską (!) budzi zdumienie i zgorszenie... w Polakach. Junkierstwo pruskie zaparło się swych konserwatywnych tradycji, swej wzniosłej misji podpierania starego porządku, sprzeniewierzyło się najświętszym swym zasadom. Czyliż się nie upamięta? Może broszura p. Morawskiego wzbudzi w nim skruchę po niewczasie, a w takim razie cóż będzie? Czy prawo o wywłaszczeniu zostanie zniesione? Broń Boże! Co najwyżej wszystkie żywioły konserwatywne państwa pruskiego sprzymierzą się, by ono pozostało na zawsze jedynie wyjątkiem potwierdzającym regułę, to jest miało nadal — jak zamierzono — wyłączny charakter antypolskiego prawa wyjątkowego, a bynajmniej nie precedensu, z którego mogłoby się kiedyś wysnuć prawo wywłaszczenia niemieckiej własności ziemskiej.

Pan Morawski ciągle przypomina niemieckim junkrom, że to im grozić może, że to im już grozi, bo upominają się o to rozbałamuceni przez komisję kolonizacyjną chłopi niemieccy.

Na pewno pruscy baronowie przejmą się — gorąco potrzebą ukrócenia zbrodniczej agitacji i skutecznie swoje latifundja obronią. A cóż na tym zyska p. Morawski — jako Polak i jako niedawny jeszcze de-

[1]) Broszura p. Morawskiego nosi tytuł „Der kommende Tag".

---

włosy, nadając postaci mej wygląd chłopięcy. Ulegając namowom ojca, poświęciłam mój złocisty warkocz. Ten mój dziwaczny wygląd charakteryzował doskonale moje ówczesne stanowisko. Nie uważałam się już za dziecko, ani nie myślałam, że jestem już kobietą. Byłam jednostką pracującą i rozumiejącą ważność swego zadania: czułam się pożyteczną i to dawało mi bezgraniczne zadowolenie. W rzeczywistości, wykonywałam polecenia ojca z uczciwością zupełną i z wielką rozkoszą. Narówni z nim interesowałam się wszystkimi drobnymi i poważnymi sprawami fabryki, znużona wciąganiem przez szereg godzin cyfr do rejestrów. bawiłam się, stojąc wśród robotników, obserwując ich pracę, lub gawędząc z nimi w chwilach odpoczynku. Było ich wielu, więcej niż dwustu; część ich, przybyła z Piemontu, zmieniała się dniem i nocą przy piecach, inni miejscowi zajęci byli w szerokich warsztatach i szopach. Ci ludzie nie kochali mnie być może, lecz napewno sprawiały im przyjemność moje nieoczekiwane wizyty. Zadowolenie ich wyrażało się w obejściu bardziej swobodnym, bardziej zgodnym z ideałem pracy, jako radości.

Uważano mnie za sprawiedliwą, o wiele sprawiedliwszą od ojca i starano się zdobyć moje łaski naiwnymi pochlebstwami, bym wpłynęła na ich korzyść przed człowiekiem, przed którym wszyscy drżeli.

Wiedziałam, że bezskuteczną będzie próba zmiany żelaznej dyscypliny ojca i jednocześnie byłam przekonaną, że jest ona konieczną

Starałam się więc tylko by łatwiej znosili rygor, dając przykład własnym posłuszeństwem. Być może, że ojciec to spostrzegał. W drodze z fabryki do domu mówił do mnie dziwnym głosem, znanym mnie tylko, nie słodkim, nie miękim, wyrażającym raczej spokój, chwilę wytchnienia. Zwierzał się: „trzebaby spróbować to, lub owo... Wtedy będziemy mogli podwyższyć płacę..." zdawało się, że zasięgał mej rady.

I ja czułam się szczęśliwą gdy mogłam mu coś nowego podszepnąć. Fabryka była dla nas potężną istotą, odrywającą od wszelkich innych zajęć, podniecającą wyobraźnię i uczucia — kąt świata samotny, który ujarzmił nas wiarą, że jesteśmy jego panami. Gdy natomiast wracałam do domu odczuwałam tym silniej dziwne niezadowolenie, którego doświadczałam już w dzieciństwie po powrocie ze szkoły. Czułam się w domu jak obca i zdradzałam coraz silniej uczucie swego osamotnienia. Byłam jak młodzieniaszek, który zaledwie wyszedszy z dzieciństwa, gani z zarozumia-

mokrata? Trudno zaiste dociec, z jakich źródeł psychicznych płynie jego troskliwa opieka nad polityczną i społeczną przewagą szlachty pruskiej, do której p. Morawski zwraca się ze swymi napomnieniami.

„Cały jej wpływ — pisze, spoczywa w ostatniej linji wyłącznie na obecnym ustosunkowaniu posiadłości rolnej. Przedewszystkim szlacheckie majątki, lecz również i wszelka inna wielka własność ziemska stanowi najznakomitszą podporę obecnego państwowego i społecznego porządku. Z niej wziął początek rozwój historyczny Prus. Z nią wznosi się lub upada stara Borussja, jedyne cywilizowane państwo, w którym obok wszystkich błogosławieństw kultury — utrzymały się w pełni zasady feudalne." Istotnie utrzymały się.

Wielkie rody posiadają na własność dziedziczną nie tylko bezmierne obszary ziemi, lecz różne przywiązane do nich polityczne i społeczne przywileje. Wiemy, że wszyscy członkowie z wyboru izby panów rekrutują się wyłącznie z posiadaczy wielkiej własności pozostającej pewien długi okres czasu w jednej rodzinie. Wiemy, że ordynacja wyborcza do sejmu pruskiego wywołuje takie ustosunkowanie głosów, że nieraz poseł może się uważać za mianowanego przez jednego lub dwuch potentatów finansowych danego okręgu. Urzędy w administracji są rozdzielane pomiędzy członków owych uprzywilejowanych rodów często w ten sposób, że de facto piastowane są dziedzicznie. W armji stanowiska wybitne i wpływowe dla nich są rezerwowane. Każdy z tych panków na miejscu u siebie stanowi istotną władzę: (Orts Vorstand).

Wielka własność ziemska obejmuje na płaszczyźnie na wschód od Elby 30 miljonów morgów a w tym w rękach szlachty jest 20 miljonów. W samych Prusach Zachodnich i w Poznańskim szlachta niemiecka posiada 2 miljony morgów. Na Śląsku siódma część ziemi należy do majoratów, a wogóle ustosunkowanie jest takie, że obok olbrzymich majątków obejmujących czasem cały powiat istnieją tylko minjaturowe i coraz to bardziej rozdrabniające się gospodarstwa chłopskie. Już w 1858 r. istniało tam pono 3,000 gospodarstw mniej niż 5-cio morgowych.

Typowym dla stosunków pruskich jest rozwój majoratów i fideikomisów. Istniało ich przed 48 r. około 500 w państwie pruskim. Demokracja ówczesna spopularyzowała ideję zniesienia tej uprzywilejowanej własności i istotnie zostały wówczas skasowane wszystkie majoraty, co stanowi dla arystokracji pruskiej tak czarne wspomnienie, jak rządy jakobinów dla francuskiej szlachty. Po czterech latach, w 1852 r. reakcja wzięła górę i nietylko przywrócono te feudalne formy własności, lecz zaczęto tworzyć nowe i to z takim rozpędem, że w ciągu 50 lat przybyło ich 625 a ogólna ich liczba dochodzi 1,200. Zajmują one obszar 12 miljonów morgów. Proces ten trwa dalej w równie szybkim tempie a pruska statystyka z r. 1905 przewiduje dalszy rozrost majoratów do olbrzymiej przestrzeni 14 miljonów morgów.

A oto jak charakteryzuje Morawski stosunki na Górnym Śląsku, w dzielnicy, która nas tak żywo obchodzi.

„Są tam okolice, w których wielką własność niemal całą stanowią majoraty, gdzie na wagę złota dokupićby się nie można najdrobniejszego skrawka najlichszej ziemi. Majoraty są silne, trwałe, ostoją się mimo słabości swych właścicieli i mimo zgrzytania zębów okolicznego ludu, który z dziećmi i manatkami swymi stale masowo emigruje do miast na zarobek. Jak jeden z baronów wyraził się w izbie panów: „jest to kontrakt między jego założycielem a państwem na nas nieograniczony".

Na Górnym Śląsku wielka własność ziemska jest wyłącznie w niemieckich rękach, lud zaś jest polski, tam więc interes klasowy ludu roboczego najściślej wiąże się z interesami polskości.

Jedna ze śląskich gazet ludowych pisze: „Jeden nie może objąć wzrokiem swego majątku, bo jest za duży, inny zaś bo jest za mały, a jego chata niemal w całości posiadaną przez niego rolę pokrywa. Jeden oblicza obszar swej własności na mile kwadratowe, drugi na kwadratowe metry."

Na tle takich stosunków ekonomicznych łatwo wywiązać się może bardzo zaostrzona kwestja agrarna.

„Państwo jest podobne do kotła — mówi jeden z junkrów w rozmowie z panem Morawskim; z pięknej konserwatywnej hartowanej stali zbudowane są jego ściany, ale wewnątrz wre i kipi, a ciśnienie już jest bardzo wysokie".

„Ideja wywłaszczenia i nowego podziału gruntów wzbudziłaby entuzjazm całej masy małorolnych i bezrolnych, a mąż stanu, któryby sobie położył za zadanie obalić władzę junkrów, miałby dziś w Niemczech $^{9}/_{10}$ ludzi myślących po swej stronie, jednakże gdyby się stąd wywiązała walka, z góry przypuszczać można, że skończyłaby się zwycięstwem tej jednej dziesiątej, którą miałby przeciw sobie. „Naturalnie, gdyż ma ona w ręku siły materjalne, siłę zbrojną i administrację.

„Nadchodzący dzień" nie jest jeszcze bardzo blizki!

Rozkolonizowanie znacznych obszarów ziemi

łością gospodarstwo domowe; takim samym tonem wyższości ganiłam niedbalstwo moich sióstr i brata, ich niechęć do nauki, brak spokojnej surowości w matce, która ich w karbach utrzymać nie umiała. Służące musiały o mnie opowiadać w mieście okropne rzeczy: nie brałam igły do ręki, nie zajmowałam się gospodarstwem... A moje uniesienia bez powodu! Można było porównać je z uniesieniami mego ojca. Być może, był to skutek zbyt silnego napięcia mych nerwów, a może zbliżanie się dojrzałości. Nie wiem. W chwilach takich biegłam jak szalona na morze, wdychałam pełnymi piersiami powietrze, by się uspokoić i zapomnieć o niezadowoleniu. Zapomniałam wtedy również o smutku, który pokrywał twarz matki podczas scen burzliwych.

Moja matka! Jak bardzo byłam nieuważną w stosunku do niej. Znikła prawie z mego życia. Nie mogę uprzytomnić sobie okresów jej zbliżania się do ruiny, od czasu przyjazdu naszego do miasteczka. Od samego początku jakaś niewyjaśniona nieśmiałość wstrzymywała ją od wyjścia czy to samej, czy z dziećmi na wybrzeże lub w pole. Miasteczko żadnej innej rozrywki nie dostarczało. Kobiety ze sfer inteligientnych nie wychodziły z domu prawie nigdy; głupie, gnuśne i przesądne; wieśniaczki pracowały więcej niż mężowie, większa część ludności żyła z morza i nad morzem, chroniąc się na noc do chat zgromadzonych o sto metrów od wybrzeża.

Mama nie interesowała się fabryką, choć napewno byłoby to dla niej rozrywką. Co prawda byłam z tego zadowoloną, widziałam bowiem, że patrzałaby niechętnie na moje przedsięwzięcia. Czułam jeszcze bardziej niż w Medjolanie, jak różniły się jej upodobania i usposobienie od usposobienia i upodobań ojca, a więc i od moich. Czułam jednocześnie, że ta różnica była powodem niezgody rodziców, którzy nie zawsze umieli ją ukryć. Szybko wszakże otrząsałam się z przykrych wrażeń, nie starając się ich zbadać. Być może, była to instynktowna obawa odkrycia czegoś zbyt groźnego w moim wieku? Nie wiem. Jedno tylko drobne zdarzenie zbudziło we mnie podejrzenie, że ojciec nie kocha mamy, tak jak mnie.

w Poznańskim i Prusach zachodnich między chłopów niemieckich działa w kierunku zaostrzenia antagonizmów, wprowadza bowiem do wschodnich prowincji będących najsilniejszą ostoją pruskiego konserwatyzmu, żywioł podatny na hasła walki klasowej. Chłop polski uświadamiany narodowo przez panów i księży, tresowany i dyscyplinowany jako karna armja w ręku miejscowych działaczy politycznych polskich, przywykł traktować wszelkie takie hasła jako zgubne szatańskie pokusy. Chłop niemiecki tych przesądów nie ma i to przeraża p. Morawskiego. Głosy kolonistów słyszane na gnieźnieńskim wiecu chłopskim d. 17 marca budzą jego zgorszenie. „Nie możemy brać pod uwagę wielkich właścicieli jako naszych kierowników" — odezwał się jeden z osadników i zyskał powszechne oklaski. Cóż za niesubordynacja! Chłop polski by tego nie powiedział.

Dla polskiej sprawy narodowej nie przewiduje też stąd pan M. zbyt poważnych niebezpieczeństw. Pociesza się, że wszystko skupi się na Niemcach. Polska wielka własność ziemska znacznie stopniała, więc mniej budzi zawiści. Społeczeństwo polskie się zdemokratyzuje, ale pozostanie sobą. Może dodaje w duchu—„równie konserwatywnym jak było". Niemniej gdy w konkluzji zapowiada zbliżanie się nowej epoki dla Niemiec „nowej demokratycznej Germanji, która już jest u bramy" — nie wita jej bynajmniej życzliwie. Dla niego jest to tylko zamiana „hakatystycznej Scylli — na socjalistyczną Charybdę". Jest w tym pewna racja.

Nie los narodu, ale los takich działaczy politycznych jak p. Morawski i jemu podobni, może być przez nią poważnie zagrożony. Oto już pisma socjalistyczne podniosły hasło: „polskiej szkoły dla polskiego ludu"! Od iluż dziesiątków lat żaden poseł ani agitator polski w pruskim zaborze nie zdobył się na tak śmiałe żądanie!

Czy lud polski długo jeszcze zechce „ich brać pod uwagę jako kierowników politycznych?"

I. Moszczeńska.

O kwestji żydowskiej

z powodu książki Ks. Jana Gnatowskiego.

(Dokończenie).

„Wieloimienny patryjotyzm żydów — pisze autor — zamieszkujących różne kraje, nietylko przez chrześcijan podawany bywa w wątpliwość; zaprzeczają mu sami żydzi". Jacy to żydzi? Sjoniści. O nich— niżej, a teraz tylko słów kilka na temat owego „wieloimiennego" patryjotyzmu.

Już na tym samym miejscu (*Prawda* Nr. 46 r. z.) zastanawiałem się nad polskością żydów. Jeżeli mowa o masach żydowskich, to jasną jest rzeczą, że prawowierny, religijny żyd nie może żyć uczuciami i aspiracjami narodu, wśród którego przebywa choćby od setek lat, gdyż jego ekskluzywistyczna religja stanowi zarówno w swej istocie, jak i w szczegółach, jedyny w swoim rodzaju światopogląd narodowy. Marzenia żydów fanatycznie religijnych, ich aspiracje i nadzieje zwrócone są nie ku przyszłości narodu wśród którego żyją, lecz ku odrodzeniu „ludu Izraela", ku cudom, które to odrodzenie sprowadzą. Owóż judaizm i polskość są to istotnie wielkości niewspółmierne, mimo, że żyd może mieć silne uczucie przywiązania do miejsca, w którym się urodził, co jednak jest jeszcze bardzo dalekim od patryjotyzmu. A to co mówi pewien poeta żydowski o tęsknocie żyda do Jordanu i jednocześnie gorącej miłości dla Wisły, to są przecież żarty.

Lecz żyd z judaizmu wyzwolony, ten, który już dawno posadził Jehowę na tronie niebytu, a o Talmudzie zapomniał, lub nigdy go nie widział? Cóż należy sądzić o polskości takiego żyda? Ks. Gnatowski nie może sobie naturalnie wyobrazić, żeby żyd bezwyznaniowiec mógł być patryjotą polskim, gdyż od polskości gotów odsądzić i postępowców rdzennego pochodzenia. Znamy tę piosenkę, stara jest, jak kler w Polsce.

Pragnąc wydać w tej mierze sąd zupełnie bezstronny, należy pamiętać, że okres asymilacji żydów obejmuje właściwie dopiero trzy pokolenia, a na głębokie uczucie patryjotyzmu musi się złożyć cały szereg pokoleń. Dziś pośród żydów tylko jednostki wyjątkowe mogą się przejmować gorąco sprawami Polski i żyć każdą jej myślą o przyszłości narodowej. Ogół zasymilowanych pod względem kulturalnym i obyczajowym żydów ma jeszcze względnie słabe poczucie polskości, lecz ślepym można nazwać każdego, kto nie widzi, jak owo poczucie wzrosło w ostatnich kilkudziesięciu latach. Oczywiście nie dzięki klerowi i nacjonalistom.

Dawne dzieje żydów w Polsce nie składały się bynajmniej na rozbudzenie w nich patryjotyzmu, gdyż naogół tolerowano ich „jako zachowanych dla naszego skarbu", jak to jeszcze powiedział Kazimierz Wielki w statucie Wiślickim, potwierdzającym przywilej Bolesławowski, lecz aż do końca XVIII-go wieku żydzi nie byli prawie przez nikogo traktowani jako współ-

---

Kończyła się pierwsza zima na nowym mieszkaniu. Ojciec, matka, ja byliśmy do poblizkiego miasta zaproszeni na obiad i do teatru przez właściciela fabryki i jego żonę, która raczyła być u nas z wizytą. Zapadał zmrok i zbliżała się godzina wyjazdu. Byłam już ubrana gdy wszedł ojciec by przebrać się; w mgnieniu oka był gotów. Mama niepewna swej tualety, od dawna nie noszonej, zwlekała przy lustrze, przesuwała zlekka puszkiem po twarzy w chwili, gdy ojciec zniecierpliwiony oczekiwaniem zajrzał do pokoju.

Przypominam sobie dokładnie pokój, lustro, wysokie okno, przez które, bardziej niż światło zachodzącego słońca, zdawał się wpadać odblask szarego, stalowego morza. W uszach zaszumiało mi zdanie pochwycone w locie: „mam więc powiedzieć, że jesteś kokietką?"

W pół godziny potym drżałam jeszcze wewnętrznie, niezdolna sformułować nagany dla ojca, usprawiedliwienia dla matki. Pomimo zmroku, zauważyłam że po jej twarzy płynęły łzy. Czy i ona przeżywała gorzką chwilę? Cierpiała, że byłam świadkiem zniewagi? Poraz pierwszy wydała mi się chorą milczącą, która nie chce być leczoną, nawet nie chce ujawnić swego cierpienia.

Później książki mówiły mi o miłości i nienawiści; zauważyłam sympatje i antypatje wśród otaczających mnie ludzi; zdawało mi się, że mam już nieco życia, lecz nie byłam w stanie zrozumieć bolesnej rzeczywistości mego domu. Mijały miesiące, smutek matki mej wzrastał, uwaga ojca zmniejszała się coraz bardziej, moje przechadzki z nim były coraz rzadsze. A ja, która już nie byłam dzieckiem, nie przeczuwałam nic groźnego. Dlaczego? pochłaniał mnie jak w dzieciństwie zachwyt dla ojca; lecz to nie tłumaczy mej ślepoty. Być może moja matka sama, w bolesnym wstydzie, unikała powiernicy zbyt niedojrzałej, zbyt oddanej temu, który był przyczyną jej cierpień. Oczekiwała cierpliwie jakiejś nieznanej pomocy.

(D. C. N.).

obywatele. A i potym, tak usposobionych dla żydów humanitarnie, jak arcybiskup Malczewski było nie wielu, natomiast więcej było takich, jak minister Morawski, który w odpowiedzi na prośbę podpisaną przez setki żydów o zezwolenie przyłączenia się do powstania 1831-go roku, rzekł: „Jak możemy pozwolić, ażeby krew żydów z szlachetną krwią polską się mieszała? a co Europa powie, że my, by wywalczyć naszą niepodległość, bez ramion żydowskich obejść się nie możemy."

Ks. Gnatowski ogłasza już wyrok na przyszłość: „Nie możemy — powiada — łudzić się co do żydów. Asymilacja zbankrutowała Żydzi, jako ogół, nie przystaną do nas nigdy." A więc i chrzest nie jest mostem między żydostwem i polskością? Nie; ksiądz Gnatowski mimo to twierdzi, że zapanować może „trwały węzeł i ta jedyna asymilacja o jakich między społeczeństwem żydowskim a naszym może być mowa, węzeł jedności ducha, sumienia i wiary, asymilacja przez chrzest."

Doprawdy nie wiadomo, w co ks. Gnatowski goręcej wierzy: w zbliżenie żydów przez chrzest, czy w ich obcość nie do zwyciężenia.

A oto mamy kontradykcję szóstą, w tym mianowicie miejscu, gdzie autor mówi o sjonistach, że oto „serca, żyjące dotąd jeno żądzą zysku, rozpłomieniają się miłością ku utraconej ojczyźnie, pragnieniem odbudowania murów królewskiego grodu na Syonie i zniszczonej przez Tytusa świątyni." (O przyszłej świątyni sjoniści dotąd nie mówili...). „Nie wiemy, jak dla kogo — mówi dalej autor — dla nas ten zwrot w uczuciach i dążeniach mas żydowskich (nb. masy żydowskie niezmiernie słabo reagują na hasła sjonistyczne, ale ks. Gnatowski stosunków żydowskich nie zna) jest sympatycznym i szanownym, podnosi on w naszych oczach wartość moralną tego plemienia, pomawianego dotąd o brak wszelkiego idealizmu i jak właśnie syonizm dowodzi, pomawianego niesłusznie."

Wypadałoby więc, że tym „sympatycznym i szanownym" dążeniom należy raczej sprzyjać, niżeli pragnąć zbliżać żydów do społeczeństwa rdzennego przez chrzest.

Tak, każde szczere dążenie jest szanownym, ale czy racjonalnym, to rzecz inna. W każdym razie niechaj się sjoniści cieszą tym komplementem. Cała reakcja polska przyklaskuje sjonistom, mimo że ci ostatni wrogi interesom polski separatyzm zamanifestowali brutalnie i wyraźnie i mimo, że zasymilowani żydzi stoją w kwestji żydowskiej na stanowisku nie tylko żydowskich, ale i polskich interesów. W tego rodzaju komplementach słyszy się najczęściej słowa: „Byleście się wynieśli z Polski, to już nawet wasze dążenia, choćby dla nas szkodliwe, gotowi jesteśmy pochwalić." I niechaj sjoniści odpowiedzą swoje: „z wami nie mamy nic wspólnego, chodzi nam tylko o siebie."

Dobrze, że postępowiec polski i zasymilowany żyd sądzą o swym wzajemnym stosunku całkiem inaczej, opierają go na rozumnych i istotnie szlachetnych zasadach obopólnego dobra i humanitarnego współżycia.

III.

Wyliczyłem tylko najgłówniejsze sprzeczności zawarte w broszurce ks. Gnatowskiego, lecz to wystarczy, by pokazać, jak wygląda dowodzenie czegoś, co się dowieść nie daje, a w danym razie słuszność zasadniczej idei autora, mianowicie asymilacji przez chrzest. Tu mogę zacytować jego własne zdanie: „Kiedy twierdzenie w wynikach swych doprowadza do absurdu, widocznie samo jest absurdem" (str. 75).

Jeszcze parę uwag.

Autor cytuje szereg zdań wyznawców haseł postępowych i jednocześnie stawia pytania, na które należy tu dać odpowiedź.

„Wolność sumienia — cytuje ks. G. — i prawa obywatela ustają, gdzie chodzi o stowarzyszenie zakonne, bo stowarzyszenie zakonne jest narzędziem ciemnoty i niewoli". „Zgoda—mówi dalej od siebie — ale czy kahały, chedery i autonomje małomiasteczkowych gmin żydowskich pomagają do światła i do emancypacji żydowskiej jednostki?" Nie, uniemożliwiają tę emancypację i należy im wypowiedzieć walkę równie silną, jak i siedliskom ciemnoty i fanatyzmu wszelkich innych wyznań. I już na szczęście coraz więcej żydów rozumie tej walki doniosłość, choć jeszcze nie zszeregowano się dla podjęcia pracy wolnomyślnej wśród żydowskich mas. Ale i to nastąpić musi. Tymczasem sami rabini ośmieszają się swymi błazeńskimi zjazdami i gotują żyzny grunt dla przyszłej pracy kulturalnej. A my, wolnomyśliciele żydzi, jesteśmy ze swej strony wdzięczni tym wszystkim Polakom rdzennego pochodzenia, którzy grozę ciemnoty żydowskiej wykazują i nie krzyczymy na alarm, że święte żydowskie uczucia są przez nich obrażane, bo rozumiemy, że fanatyk żyd musi się „obrazić", lecz syn jego zacznie się namyślać, a wreszcie wnuk zdejmie chałat, ogoli pejsy i odłoży talmud.

„Nadmierny wzrost nieprodukcyjnego majątku Kościoła — cytuje dalej autor — musi być zahamowany konfiskatą". I pyta: „Dobrze, ale czy przypadkiem wzrost żydowskiego kapitału nie jest mniej jeszcze produkcyjnym, a znacznie bardziej szkodliwym, nie mówiąc już o tym, o ile jest większym?" Niech na to pytanie odpowie pierwsza lepsza broszura socjalistyczna wydana przez partję *żydowską*.

W dalszym ciągu ks. Gnatowski przytacza następujące zdanie: „Katolicyzm jest państwem w państwie: niepodobna znieść organizacji, nakładającej na swych członków prawa, odmienne od ogólnych, nieraz ogólnym przeciwne, a krępujące ich sumienia": Tu zauważę nawiasem, że to właśnie margrabia Wielopolski przed rokiem 1863-im oświadczył księżom, że nie zniesie „rządu w rządzie". I znowu mówi autor: „Zgoda i na to (czy doprawdy zgoda?), ale jeśli tak, cóż powiedzieć o społeczeństwie żydowskim, o tyle bardziej obcym, odrębnymi rządzonym prawami, tworzącym swoją solidarnością przeciw interesom ogółu istny „Ring" o niezłomnej nieraz potędze?!" Cóż powiedzieć?

Najzupełniej to samo, że, mianowicie, znieść tego nie można. I tak odpowie śmiało i otwarcie każdy uczciwy wolnomyśliciel żyd, prostując jedynie owo błędne a tak powszechne wśród nieznających dobrze żydowskich stosunków wyobrażenie o rzekomo wielkiej solidarności żydów.

Lecz właśnie ks. Gnatowski w szczególny sposób pojmuje żydowską uczciwość, której stopień i wartość jest według niego warunkowana siłą tej rzekomej solidarności.

„Przynoszącą żydom ujmę — pisze ks. G. — jest ich solidarność ze współwyznawcami nawet wtedy, gdy ci ostatni przekraczają nie już §§ ustaw cywilnych (mowa o wieku przepisanym nowożeńcom), ale i zakazy kryminalnego prawa (jakie?). Więc żyd uczciwy i rzetelny będzie ochraniał oszusta i lichwiarza". Nie, księże, trzeba powiedzieć otwarcie: żyd z jakichkolwiekbądź pobudek ochraniający oszusta jest także oszustem. Nie istnieje etyka o dwuch miarach, a taką etykę ks. Gnatowski przypisuje całemu żydostwu, więc chyba uważa żydów za naród oszustów. Tego jednak nie odważył się powiedzieć.

W bajkę o bezwzględnej solidarności żydów wierzą ci, którzy zupełnie nie znają ich życia, którzy nie rozumieją, że żydzi rozproszeni zostali nie tylko między narodami, lecz i między klasami społecznymi, że przez to samo dzielą się na grupy o różnorodnej ideologji i że prowadzą między sobą walki wewnętrzne, jak zresztą każde inne żywe zbiorowisko ludzkie. A bezkrytyczne uogólnienie sądów o żydach, jako o całości, przypomina tego podróżnika, który

przebył jeden dzień we Francji, a zwymyślany przez dorożkarza, głosił, że Francuzi są narodem wulgarnym.

Ks. Gnatowski wzywa do walki z żydowskimi lichwiarzami, szachrajami i wyzyskiwaczami „nie dlatego, bo są żydami, ale dlatego, bo są szkodnikami". „Nie będzie to — powiada — walka z żydostwem, ale walka z różnorodnym złem gangrenującym społeczeństwo". Pięknie! Lecz czy w tej walce pomóc nie mogą wszyscy uczciwi żydzi? Czy na te miljony nie znajdzie się tysięcy gotowych walczyć w imię etycznego odrodzenia żydów i w imię dobra polskiego narodu?

Jeżeli nie wierzycie, że takich jest bardzo wielu, jeżeli opanowani hipnozą antysemityzmu (choćbyście go z prawdziwie chrześcijańskiego stanowiska potępiali), nie widzicie w żydzie człowieka mogącego wam uczciwością dorównać; jeżeli mimo setek lat współżycia, nie chcecie muru między żydami a polskim społeczeństwem zwalić, nie rozumiejąc, że na zniszczeniu tego muru i własne wasze dobro polega, — to prowadźcie sami ową walkę z gangrenującym społeczeństwo złem i na tej drodze należy wam życzyć jaknajwiększego powodzenia i jaknajszybszych skutków.

Lecz niechaj także nastąpią w Polsce czasy, kiedy tysiące zgłodniałych żydów błąkać się przestanie po ulicach i podwórkach, wołając „handel" i zmuszonych się opędzać od szydzących z nich dzieci polskich.

Niechaj nowe warunki nie rodzą lichwiarzy w smutnej spuściźnie pozostawionych przez ubiegłe stulecia, w ciągu których nie dopuszczano żyda do prac godnych człowieka twórcy i wytwórcy.

Niechaj nadejdzie ta chwila, kiedy żyd uważany będzie przez cały ogół polskiego społeczeństwa za współobywatela, mimo, że do katolickiej chrzcielnicy nie poszedł.

Józef Wasercug.

Z „Mózgu Rosji".

Okres rewolucji powstrzymał w Rosji powolną falę ruchu intelektualnego. Ruch ten ożył powoli w czasie dzisiejszej reakcji. Reprezentuje go najwyższa inteligiencja, wyszkolona w djalektyce i rzeczach mistyki, zamiłowana w teoretycznych dociekaniach i nihilistycznej analizie. W jesieni r. 1907 wznowiono głośne w Petersburgu ongi (1901 — 1903) „zebrania religijno-filozoficzne"; zabierali głos zarówno przedstawiciele ateistycznej inteligiencji, filozofowie-adogmatycy, jak też myśliciele, tęskniący za odrodzeniem religijnym, wreszcie wszyscy hierarchowie z łona ortodoksalnej cerkwi. Zebrania te, jakkolwiek zamknięte, wywierały wielki wpływ na umysły wiecznie niesytej w poszukiwaniu jakiejś prawdy i przymierza inteligiencji rosyjskiej, a że wobec energicznych napaści na panującą cerkiew wydawały się niebezpiecznymi, zamknięto je na wiosnę 1903 roku za przyczyną metropolitów.

Cztery lata przerwy były nie zwykłym czteroleciem szarego, bezbarwnego życia, lecz okresem osobliwym, historycznym. Niestety inne czasy, inne wystąpiły kwestje. Zmieniła się rola cerkwi, zmienił się cały nastrój zróżniczkowanej politycznie inteligiencji, i oczywiście nowy stan rzeczy nie mógł się nie odbić na życiu i działalności Towarzystwa religijno-filozoficznego. „Trzeba przyznać — pisze jeden z inicjatorów z powodu wznowienia zebrań w tym roku — że odrodzone stowarzyszenie nie znalazło jeszcze dla siebie pewnego określonego odlewu, nie opracowało kierunku, jednym słowem — nie znalazło jeszcze siebie. Sprawa prowadzoną jest z talentem, energicznie, ale dość nieświadomie, raczej pod wpływem natchnienia. W czym tkwi najbliższe, dzisiejsze zadanie towarzystwa, tego nie wie nikt z jego uczestników..."

Zaś prezes towarzystwa w r. 1907, A. Kartaszow, mozolnie sterując przez cały ciąg zebrań pomiędzy Scyllą spraw społecznych a Charybdą cerkwi, reasumował psychikę zgromadzenia w takich słowach: „W towarzystwie naszym, jak widać z dyskusji, niema jedności. W chórze naszym słychać brzęk dwuch ostrych dysonansów, dwuch różnych potrzeb duchowych, które najwidoczniej rozbijają uczestników towarzystwa na dwie kategorje, na miłośników filozofji i na ludzi, interesujących się wyłącznie kwestjami religijnymi".

Zebrania z r. 1901 — 1903 były głównie zwrócone ku cerkwi. Po raz pierwszy w dziejach społeczeństwa rosyjskiego cerkiew i inteligiencja wyznaczyły sobie „osobiste rendez-vous", i spotkawszy się w cztery oczy, zapewniły się wzajem i pozornie jaknajszczerzej, że jedna o drugiej dużo przemyśliwa, i nawzajem czegoś się wciąż spodziewa. Obydwie strony wkrótce zrozumiały, że jednomyślność ich opartą jest na nieporozumieniu, a możliwość wspólnego działania na iluzji. Inteligiencja okazała to słowem, zaś cerkiew w czynie, zamykając zebrania i rozwiązując towarzystwo. Oczywiście taka ultima ratio nie mogła skutecznie przekonać nikogo, w stosunku zaś do ludzi, którzy nigdy nie posługiwali się bronią bezwzględnego materjalizmu, nie znali sekciarstwa, lecz występowali z punktu widzenia tych samych prawd, które powinna wyznawać cerkiew, było to cyniczną brutalnością. Jako krok polityki cerkiewnej rozwiązanie towarzystwa było w dodatku spóźnionym, bo stworzony przez zebrania ferment zdążył ogarnąć szerokie warstwy duchowieństwa, przyczynił się do wystąpienia kilku utalentowanych profesorów z akademji, wreszcie spowodował pośrednio potrzebę zwołania cerkiewnego soboru.

Rewolucja wyjaśniła sprawę. Dziś inteligiencja już się nie spodziewa wysłuchania i zrozumienia ze strony cerkwi. Każda działa na własną rękę i we wrogim do siebie stosunku. Drogi rozeszły się, bo jasnym jest, że cerkiew opiera się stale o reakcyjne żywioły, i dopóki ciemnota wielomiljonowych mas spędza lud do bram cerkiewnych, gdzie słucha on bezkrytycznie głosu kaznodziejów, dopóty próżnymi będą debaty kilku mądrych, arcyuczonych inteligientów stołecznych.

Możnaby stan ten sformułować tak mniej więcej: cerkiew nie słucha już rzeczników „nowej świadomości religijnej", zaś szerokie warstwy inteligiencji nie słyszą ich; nie mówiąc już o tym, że życie codzienne szumi na zgoła inną nutę, znieczulającą bębenki w uszach jak np. w „Życiu Człowieka" Andrejewa, (najsilniejsza scena z całej sztuki, co oczywiście nie jest zasługą autora, który melodji tej nie komponował), ale i dostanie się na zebrania filozoficzno-religijne połączone jest z mnóstwem trudności, natury chociażby technicznej.

Pragnąc bardziej spopularyzować zarówno sam przedmiot rozpraw, jak i cele towarzystwa, jeden z inicjatorów ruchu, znany publicysta D. Fiłosofow w umiejętnie zredagowanych artykułach informacyjnych zaznajamiał czytelników różnych pism postępowych z zadaniem, jakie podjęła w tym roku na nowo garść inteligiencji z nim, Mereżkowskim, Berdiajewem i innymi dawnymi „wskrzesicielami" ruchu religijnego na czele. Z treści artykułów tych programowych wynika, że śmietanka intelektualna już poczuła cały nonsens bytowania swego na gruncie idealnym, że chce działalność swą organicznie zespolić z życiem i potrzebami obywatelów gnębionego kraju, że marzy o „służbie" najszerszym warstwom w sprawie rozwiania dręczących je zwątpień. „Takie posłannictwo może zjednoczyć ludzi o najróżniejszych religijnych poglądach. Nie chodzi o gotową odpowiedź, lecz o poważne, godne tematu obranego postawienie pytania.

Jeżeli towarzystwo nasze zdoła choć o jeden cal podnieść kulturalny poziom inteligiencji, unormować pewien kulturalny stosunek do problemu religijnego, przekonać choćby kilku tylko jej przedstawicieli, że religja nietylko nie jest związana z reakcją, lecz że realne wyzwolenie narodu rosyjskiego możliwym jest jedynie przy jego religijnym odrodzeniu — spełni naówczas wielki i prawdziwie kulturalny czyn"... I w imię wspólnej pracy dla powziętej sprawy nawoluje Fiłosofow do usunięcia na bok prywaty, rachunków osobistych i partyjnych, (niechęci do rzeczy religji wrodzonej), do wyrzeczenia się czczych rozmów. To zakończenie niewątpliwie cisnęło mu się pod pióro z gorzkiego doświadczenia...

Przyznam się, że się spodziewałem czegoś więcej, wchodząc do sali posiedzeń Towarzystwa, dokąd otrzymałem zaproszenie na odczyt p. Aleksandra Mejera p. t. „Religja i kultura". Mając nieco wprawy w rozróżnianiu rosyjskiej publiczności, na podstawie poszczególnych typów i charakteru całego zgromadzenia domyśliłem się łatwo, że większość zebranych przyszła nie tyle gwoli jakiejś wewnętrznej pracy nad postawionym przez prelegienta problemem, ile na efektowną polemikę i na te właśnie, odbiegające od istoty podjętej w Towarzystwie sprawy, porachunki osobiste wybitnych pisarzy i publicystów. Przeczucia moje nie zawiodły mię zaraz przy pierwszej przemowie zabierającego głos w dyskusji marksisty.

(D. n). *D-r Tadeusz Nalepiński.*

NA DOBIE.

Wrażenia z Wystawy.

Byłem na wystawie w Częstochowie. Widziałem nagromadzone wytwory pracy ludzkiej, na jedno zwiezione miejsce, wszystko to rozmieszczone systematycznie, przedstawia imponujący widok. Nie będę opisywał poszczególnych działów wystawy, czynią to i uczynią inni, powiem słów parę o domowym przemyśle i o „wzorowej" zagrodzie włościańskiej.

Pawilon przemysłu domowego, który pozostanie i nadal w Częstochowie, zgromadził w sobie cały prawie przemysł domowy w kraju istniejący. Widzimy tam różnego typu warsztaty tkackie od najprymitywniejszych do bardzo ulepszonych; tkają na nich hoże księżaczki, tam znowu robią kosze, tam trepy — tam rozmotywują kokony jedwabników, tam znowu robią zabawki.

A przy wejściu zdun wyrabia bardzo piękne wyroby gliniane — słowem pawilon przemysłu domowego robi wrażenie bardzo dodatnie.

Komitet wystawy powziął myśl wybudowania na wystawie „wzorowej" zagrody włościańskiej, a to w tej myśli, aby przybywający na Jasną Górę włościanie mieli gotowy wzór, jak budować chałupy i jak urządzać zagrodę.

Komitet wprowadzając w wykonanie ten pomysł, miał wiele dobrych chęci, ale chaty „wzorowej" nie wybudował a to dlatego, że widocznie nie zdawał sobie sprawy z tego, jaka powinna być chata teraźniejszego włościanina i jaka ona jest w rzeczywistości.

Nie będę pisał o tym czy i ile zawieszono tam obrazów, jakie są wymiary izb, nadmienię tylko, że w obecnych czasach, gdy włościanin używa na opał węgla kamiennego, bo drzewa brak — i jest drogie — nie buduje on pieca z cegły, gdyż takowy z zamknięciem hermetycznym — pęka, prędko się psuje i przytym przepuszcza czad węglowy, narażając mieszkańców na zaczadzenie. Dziś zamożny włościanin (a taki tylko może taką chałupę budować) stawia piece kaflane, jako mocniejsze, nieprzepuszczające czadu — i trwalsze.

Kuchnia mała — umywalnia zajęła zadużo miejsca a to kosztem kuchni; kotlina kuchenna także mała. Ale najbardziej typowy to piec chlebowy, urządzony nizko przy ziemi, a że zazwyczaj chleb piecze gospodyni — przeto rozumie się, że musi chyba położyć się na ziemi dla napalenia w piecu, wsadzenia i wyjęcia zeń chleba. Tylko jak to będzie, gdy gospodyni nie będzie mogła w takiej pozie robić około pieca, co przecież w chłopskim stanie trafia się perjodycznie często.

A no, widocznie komitet wystawy osądził, że w takim wypadku zastąpi gospodynię gospodarz. Dalej niema ta „wzorowa" kuchnia piecyka, aby upiec kawałek mięsa. A może chłop powinien bez tego się obejść?

Ale zato ogródek warzywny bardzo ładny i dobrze urządzony, gnojownia dobra, no, a stodoła to już zupełnie dobra. Obora mogłaby być inaczej urządzona. A brakuje zupełnie ogrodzenia, zato wszędzie są porządne zamki.

Taką jest zagroda, urządzona na wystawie w Częstochowie.

T. Nocznicki.

Pomnik Mickiewicza w Paryżu.

W ostatnich czasach w społeczeństwie francuskim zaznaczyło się silne zainteresowanie sprawami polskimi; zamarła po wojnie francusko-niemieckiej sympatja do Polaków poczyna na nowo odżywać, coraz częściej odzywają się głosy przypominające, ile to polskiej krwi przelanej zostało pod znakami francuskimi i dla sprawy francuskiej; nazwiska Chopina i Mickiewicza coraz częściej są wspominane, powstała nawet myśl wystawienia pomnika Mickiewiczowi w Paryżu, tymbardziej, iż Chopin posiada tam dwa pomniki [1]) i wkrótce na ścianie domu, w którym życie zakończył, zostanie umieszczona odpowiednia tablica pamiątkowa, ozdobiona jego medaljonem.

Inteligiencja francuska przypomniała sobie, iż Mickiewicz wykładał w Sorbonie i wraz z Micheletem i Quinetem był chwałą tej uczelni. Francuzi już zaznaczają, iż Mickiewicz jest nietylko chwałą Polski ale jest jednym z największych poetów świata i żarliwym apostołem ideału nowoczesnego. Zaznaczają, iż pomniki wieszcza znajdują się we wszystkich miastach Polski, i że mu się należy pomnik w stolicy świata, w Paryżu. Dla urzeczywistnienia celu tego utworzył się w Paryżu komitet mieszany, składający się z wybitnych osobistości francuskich i wielu Polaków zamieszkałych we Francji. W skład komitetu wchodzą osoby należące do różnych sfer i do różnych obozów politycznych. Obok nazwiska Leona Bourgeois, byłego prezydenta ministrów, radykalisty, znajduje się nazwisko Maurycego Barresa, członka Akademji Francuskiej, nacjonalisty, a książe Czartoryski i hr. Potocki sąsiadują z d-r Gierszyńskim, w drugiej liście osób komitet ten składających, widzimy następujące nazwiska: Baudin, senator, były minister, ks. Roland Bonaparte, hr. Branicki, Gaston Calmette, dyrektor „Figaro", Jules Claretie, Anatol France, Jules Lemaitre, Anatol Leroy-Beaulieu, ks. Lubomirski, Ignacy J. Paderewski, hrabina de Noailles, ks. Poniatowski, Jan Reszke, ks. Radziwiłł, A. Hebrard, dyrektor „Temps", Ernest Lavisse, członek Akademji Francuskiej, J. H. Rosny, członek Akademji Goncourtów, hr. Tyszkiewicz, hr. Zamoyski,Gabriel, Sarrazin i wiele innych, należących do wybitnych osobistości francuskich i polskich, — skarbnikiem komitetu jest d-r

[1]) Jeden w ogrodzie Luksemburskim, a drugi w parku Monceau.

Victor Nicaise, 3 rue Mollien, a sekretarzem Marius Ary Leblond, 7 rue Guy de la Brosse.

Komitet powierzył wykonanie pomnika rzeźbiarzowi Antoniemu Bourdelle'owi, jednemu z najbardziej oryginalnych plastyków nowoczesnych francuskich, znanemu i w Warszawie, jako należącemu do jury, które sądziło projekty na pomnik dla Chopina.

Artysta ten, obdarzony silną indywidualnością, wykona dzieło ciekawe i wielkiej wartości. Zapytany jak sobie wyobraża ów pomnik, odpowiedział: obecnie wczytuję się w dzieła Mickiewicza, chcę go z nich wyczuć, poznać bohaterów jego poezji, chcę jednak, by pomnik ten nietylko wyobrażał Mickiewicza, ale poniekąd by symbolizował sobą wasz kraj, całą Polskę.

Będzie to niezmiernie interesującym widzieć, jak to Francuz pojmie postać wieszcza polskiego, jak odczuje jego twórczość, jak postara się w dziele swoim stworzyć symbol Polski całej. Można być z góry upewnionym, iż dzieło jego będzie wielce oryginalne i nic ze zwykłym szablonem nie mające wspólnego.

Mickiewicz gienialną swą twórczością należy do świata całego, słusznie należy mu się pomnik tam, gdzie już znajdują się posągi Dante'go i Shakespeare'a. Będzie on reprezentował sobą twórczość rasy słowiańskiej, a właściwiej narodu, który kulturą swą w rasie tej przoduje. Nazywają Francuzi Mickiewicza apostołem ideału nowoczesnego, a więc wolności, postarajmyż się, aby temu apostołowi drogiej nam wolności mógł jak najprędzej stanąć pomnik w Paryżu.

Wincenty Trojanowski.

ECHA PRAWDY.

O laury Wyspiańskiego.

P. Weyssenhoff w dwuch artykułach, o których pisaliśmy w numerze poprzednim *Prawdy*, usiłuje zedrzeć laury z czoła Wyspiańskiego. To samo o kilka numerów wcześniej chciał zrobić Prus, w tym samym, co i Weyssenhoff, *Tygodniku Illustrowanym*, i to na korzyść... Or-Ota

Z powodu tych artykułów jeden z młodych poetów nadsyła nam w figlarnej formie napisaną scenę, którą zamieszczamy ze względu na myśli pod tą formą ukryte, tymbardziej, że odpowiada ona może najlepiej wartości niepoważnych ataków na... laury Wyspiańskiego.

Maryna Jedna, druga wolna strofa
Razi pana Weyssenhoffa...
Weyssenhoff Ja od czasu konstytucji
Nie lubię tej Rewolucji!
Maryna Rewolucja to — podnieta!
Weyssenhoff (*z przekąsem*) Ale gdzieta... ale gdzieta!...
Maryna Nowa forma — złota wola!...
Nowiusieńkie wokół pola...
Weyssenhoff Mnie ta dobrze w starej formie,
Jak w wygodnym uniformie,
Zasię krztyna nowej treści
I w tej starej się pomieści.
Maryna Zawdy przecie to występek:
Pchać treść nową w stary pępek!
Weyssenhoff (*dziarsko*) W starym pępku djabeł pali!
Tam — myśl nowa się krystali,
Tam — myśl nowa, narodowa!
Maryna Słowa, słowa, słowa, słowa!
Weyssen. (*oburzony*) To skradzione wprost z Hamleta!
Maryna Ale gdzieta... ale gdzieta!...
Weyssenhoff Młoda Polska — męt ma na dnie!
Na tym stoi, co ukradnie...
Maryna (*zasromana*) Ja tam mętu z dna nie doję —
I na własnych nogach stoję...
Weyssenhoff Na złodzieju — czapka gore!
Ha, poznałem teraz zmorę!
Jedna z moich bohaterek,
Com je tworzył bez usterek,
Nogi miała!... Hańba tobie,
Boś je skradła! Oddaj obie!
Maryna (*zmieszana*) Mojeć własne! Chyba nie śnię!
Przyszły na świat jednocześnie,
A skąd przyszły — srom niewieści
Gębę stula...
Weyssenhoff Z mej powieści!
To nie nogi! To plagiaty,
Co je kryjesz w cieniu szaty!
(*Chwyta Marynę za plagiat*).
Maryna Widzita go, jaki chyży!
Nie podnośta szatki wyżej!
(*Wchodzi Prus i Or-Ot w laurach Wyspiańskiego Weyssenhoff poniechał tedy Maryny.*)
Or-Ot (*zerkając na Marynę*) Kocham dzieci, czczę kobiety...
Maryna (*przerażona*) I ten także? Rety, rety!...
(*Ucieka z Redakcji Tygodnika Illustr.*)
Or-Ot Uciekła mi ta babulka!
Prus Piękna, niby szklana kulka!
Or-Ot Szklana kulka? Sens rozumiem,
Lecz połapać go nie umiem...
Prus (*pouczająco*) Szklana kulka: ład, rozsądek,
Doskonałość i porządek.
Or-Ot Jużem złapał: cnota, czystość,
Swojskość, zbożność, oczywistość!
Prus (*zadowolony*) Mądrej głowie dość na słowie.
Or-Ot Cosik złego czuję w głowie...
Czy nie szkodzi liść bobrowy
Na powierzchnią lub wnątrz głowy?
Prus Tak ci ciąży owo kwiecie?
Or-Ot (*mężnie*) Głowa boli — wytrwam przecie!
Prus Cny Or-Ocie, twojej cnocie
Dałbym laurów takich krocie!
Or-Ot (*wzruszony*) Zbożny dank ci za uznanie
Sędziwy Orotomanie!
Prus Mów, kto pierś twą śpiewem wzrusza,
Kto uczynił, że twa dusza
Taka święta, taka boska?
Or-Ot (*skromnie*) Panieneczka Częstochowska...
Toć uczyła czuć po polsku,
A no — śpiewać po colsku,
A no — piękno szczere widzieć,
A no — Niemca nienawidzieć!
Za kropelkę krwi niemieckiej
Jam dla onych — wróg zdradziecki,
Bo ma swojskość pełnoletnia,
Kraj giermanów ubezdzietnia,
Przysparzając na wywczasie
Tęgich chłopów polskiej rasie!
Prus (*zachwycony*) Oj da-dana! Oj da-dana.
Jedna — druga kulka szklana!...

Bodaj więcej tego szkliwa
Urodziła polska niwa!

(*Wchodzi Józio Wolff*).

Or-Ot *Całuje go na powitanie w ramię.*

Wolff (*głaszcząc po głowie Or-Ota*) To — zbyteczne...
to — zbyteczne...
W każdym razie — nie konieczne...
Co tam słychać?

Or-Ot Proszę Tatka,
Wszystko idzie niby z płatka!
W Tygodniku pełno krzyku
O Wyspiańskim — buntowniku,
Narodowych pełno wnikań,
I pobożnych napomykań,
Do przedpłaty cnych zaproszeń,
I swojskości — i ogłoszeń!
Dla wzmocnienia zasię akcji —
Odpowiedzi od Redakcji...

Wolff Więc sprzyjają nam lazury!
Czemuż Weyssenhoff — ponury?

Weyssenhoff (*grubowo*) Laury...

Or-Ot Dźwigam je na sobie,
A Wyspiański leży w grobie!...

Weyssenhoff Polska nowej sztuki erą
Zagrożona, jak cholerą!
Rewolucje — i rewolty,
Dziwne skoki, zdradne wolty,
A Tradycja na śmietniku,
Lub najwyżej — w Tygodniku!

Wolff To zbyteczne... to zbyteczne...
W każdym razie nie konieczne:
Połączenie dwuznacznikiem —
Tygodnika ze śmietnikiem!...

Or-Ot (*czule*) Weyssenhoffie, oszczędź Tatka!
Wszystko idzie, niby z płatka...
I ty — Józio, i on — Józio, —
Przeproście się — buzia z buzią!
Buzia z buzią, a wąs z wąsem, —
Zażegnamy kłótnię — pląsem!
W pląsie człek się staje gładszy, —
Stare miasto na nas patrzy!...

(*Or-Ot, Weyssenhoff i Prus biorą się za ręce, czyniąc korowód wielce uroczy*)

Wolff (*wyklaskuje takt dłońmi*) Tańczcie wkoło, —
zamaszyście,
Byle swojsko, a ojczyście,
Tańczcie, aż wam zbledną lica:
Będzie nowa kamienica!...

Weyssenhoff (*tańcząc*) Nim ubiegnie ten rok Pański,—
Zginie wraży syn — Wyspiański!

Prus (*tańcząc*) Młoda Polska z tej okazji
Pozbędzie się swej fantazji!...

Or-Ot (*tańcząc*) Zginie myśli królowanie, —
Nasza przyjaźń pozostanie!...

Wolff Dyrgaj wkoło — zamaszyście,
Byle swojsko, a ojczyście,
Dyrgaj, aż ci zbledną lica:
Będzie nowa kamienica!...

Z.

LITERATURA i SZTUKA.

„Bazilissa Teofanu" Tadeusza Micińskiego.

W Złotym Pałacu dzieją się cuda. Na suficie, wyobrażającym niebo, błyskają słońca olśniewające, rozlega się muzyka sfer, ruszają się posągi, ściany mówią, woda ukazuje kształty przyszłości, zjawiają się postacie starożytnych bogów.

Zgroza i podziw ogarnia widza. Przypadkiem, błąkając się po sali, pełnej symbolów wiar i bajecznych emblematów, natrafia na drzwiczki maleńkie. Za nimi spostrzega chłodnego mechanika, któremu żyły nabrzmiały na czole od wysilenia myśli i który wszystkie cuda, wszystkie gromy i wizje mądrym naciśnięciem sprężyn wywołuje.

Nie wierzcie pozorom: w szatach maga zawsze jest człowiek. Nie bierzcie fantastycznych akcesorjów za treść — rozwinąwszy skrzydła chimer, rozbijecie się o mur niezłomnej myśli człowieczej.

Tajemnicza Bazilissa Teofanu jest kobietą w ziemskich swych kolejach i symbolem w wieczności.

Jako kobieta, jest wcieleniem dyonizyjskiego pierwiastku życia i jednoczy miłość ziemską z religijną ekstazą duszy. Połączyć się z mężczyzną może tylko w tchnieniu boskości, po wkroczeniu w znak wyższych przeznaczeń. Kocha marzenie swe skrzydlate, kocha to, co dalekie i to, co nowe słowo przynosi, i to, co samotne i wielkie. Jako kobieta, po śmierci wszystkich ziemskich nadziei jeszcze ostatni ma w sobie krzyk i ostatni ból śmiertelny: dzieci. Z wysoką pogardą dla cierpienia, morduje i udręcza tych, którzy ją kochają, by wbiwszy ich na krzyż, dać im djadem najwyższy piękna i wielkości, wypromienionych z ich dusz przedzgonnie. „Miłość musi być srogą, jak królestwo — i więcej". Z głęboką obojętnością i dumą przeciwstawia się tłumowi i niezrozumiana, idąc wśród gradu oszczerczych kamieni, zachowuje na ustach zagadkowy uśmiech i urągliwie potwierdza oskarżenia w siebie miotane. Ta wyniosła pogarda dla tłumu ze strony silnego indywiduum, nosiciela nowych wartości przypomina nam inną potężną postać naszej literatury — Aleksandra Świętochowskiego, do którego Miciński jest podobnym ze sposobu budowania dramatu, polegającego na retrospekcji dziejów ludzkości ze szczególnym podkreśleniem wszystkich przesądów i okropności, przed którymi się wzdryga umysł oświecony. Przypomina go też i sposobem pisania aforystycznym, na skutek którego punkt ciężkości dramatu spoczywa w tych cudownych fajerwerkach retorycznych, nie zaś w akcji samej, która jest tylko kanwą, znikającą pod deseniami. „Nie można wiedzieć, co się dzieje w innej duszy", mówi Miciński, a w innym miejscu: „Przyznajmy duszy to, iż jej inna zrozumieć nie może". Tak mówi myśliciel, przenikający mózgiem tajemnice wszechświata, gdyż myśl jest pierwiastkiem wyodrębniającym. W ustach prawdziwego maga-mistyka, pogrążającego się w ekstazie objawiającej, niemożliwymi są te wyrazy. Golgotą Micińskiego jest myśl. W „Kniaziu Potiomkinie" mówi: „człowiek współczesny nie potrzebuje już konać na Golgocie. Człowiek współczesny musi tylko straszliwie przemyśleć."

Metafizykiem jest ten bolesny, wiwisekujący się w bezlitosnej szczerości poszukiwacz i stara się odkryć podstawy poznania, podstawy bytu. „Jaką masz wiedzę i pewność ostateczną?" pyta natchniony Melodos Bazilissę Teofanu i odbiera odpowiedź: „Żadnej". I ostatnie słowa Teofanu brzmią pogrzebowo, jak

dzwon konających wiar: „Jestem sama. Oto jedyna prawda: Jaźń w pustyni, kuszona przez nicość".

Takim twój wynik ostateczny, magu?

Nakaz jedyny, który spełnić należy wobec braku wszelkiej pewności, takim tylko być może: niewiadome, brak pewności a może i nicość zupełną przyjąć i wobec niej się ostać, wobec niej potęgą tylko człowieczą trwać i iść. „Jeżeli chcesz mi służyć, zabij strach przed niewiadomymi", mówi Teofanu do Świętosława, bo „kiedy bóstwo wstępuje w człowieka, to tylko miraż. „Większa jest rzecz, gdy człowiek staje się bogiem, najgłębsza — gdy jest aż do głębin sobą."

Kult człowieka bez autorytetu i sankcji — oto tajemniczy, a całkiem prosty po odkryciu mechanik, poruszający wszystkie dekoracyjne cuda. Nic więcej i nic mniej nie powiedział Aleksander Świętochowski, tylko że ojciec pozytywizmu polskiego był z autentycznego rodu Hellenów, który niezależnie od konstrukcji metafizycznych przejął w całym obszarze ziemię i na niej pogodnie pracował, gdyż mu to wystarczało. Zaś Miciński jest z rodu ciemnych i nieugaszenie pragnących Bizantynów, którzy od prostej togi wolą sztywne, lśniące przepychami Golkondy, zawiłymi haftami i symbolami suknie wschodnie.

Swoiście zdobywał swą prawdę Miciński. Przeszedł przeraźliwie mroczne otchłanie — i nie zgasł blask jego oczu. Zajrzał w oczy wielkiej ohydzie — i nie skamieniał. Długie dni spędził na skwarnej pustyni sam na sam z kamienną maską sfinksa i wyniósł stamtąd niezłomną wolę twórczą. Wśród zórz podbiegunowych jarzyła się na lodach myśl jego i stamtąd przydźwignął ją na barkach wyolbrzymiałych — mroźną, straszną i nieugiętą. Pod jaskrawą tkaniną dramatu leży ta myśl, ta męka wytężona do ostatnich granic. Wsącza się w serca i czaruje demoniczną głębią, Luciferyczną nieustraszonością.

I świeci się w mrokach Złotego Pałacu — Bazilissa Teofanu, symbol ostatecznego wyzwolenia ludzkości, jej najdalej w wieczność wystrzelonej myśli. Bez wahań, bez strachu, w milczeniu tajemnicy prowadzi ludzkość ku jej przeznaczeniom i w rzężeniu męczarni widzi rozkwitające kwiaty bohaterstwa, zzuwające z siebie pęta zewnętrzności i rosnące w moc własną duchy. Wszyscy tęsknią ku Bazilissie, której ikona ma zastąpić wizerunek Matki Boskiej. Wyciąga ku niej dłonie i Grek, i Norman z północy, wieszczący ruinę Bizancjum i nadejście nowego świata na gruzach podwójnej zmory ludzkości — cezaro-papiestwa. Tęskni za nią Arab, bojownik Islamu, i Wareg — książę Rusi, i błędny rycerz Żórawjan. Tęskni za nią Nikefor, w którym jest źródło wiecznych wiar i Melodos — natchniony poeta i poszukiwacz prawd tajemniczych. Przechodzi ideja skrzydlata od narodu do narodu, oczekując swego ostatecznego wcielenia. Przetwarzają się i zmieniają dusze w dążeniu. Łamią się miecze Seifa Eddewleta i Nikefora wzniesione ku obronie wiar pozytywnych. Teofanu—Lucifer ciągnie magnetycznie w swe głębie. Należeć będzie do tego, kto w nią bezwzględnie uwierzy. A gdy wątpliwość Nikefora: „lecz jeśli ona jest z tejże gliny kłamliwej, co ludzie — jeśli ona jest ani mniej, ani trochę więcej, niż biedna, okłamująca siebie i mnie Przyroda?" dla niego pewnością się staje, ginie z rąk nieubłaganej wampirzycy. Szła ona ku „odrodzeniu ludzkości przez coraz głębszą tragiedję", wśród własnych i cudzych załamań. Ona — wolna dusza ludzkości. Tę wolną duszę grzebie ortodoksja, zamurowując Bazilissę w klasztorze. Lecz po niej pozostają jej dzieci, którym każe kochać słońce. Jednego z jej synów bierze na wychowanie sceptyk Chverina, który odprowadza Teofanu do żywej trumny szeptem.

„Ty — Wielkie Wszystko — Dionizos — zmartwychwstaniesz!"

Z jednego korzenia — z uznanego i nielękliwie przyjętego braku wszelkiej pewności — wyrastają dwa różne pnie: Teofanu i Chverina, brat i siostra, wklęsłość i wypukłość tej samej soczewki. Teofanu wśród mroku jest ogniem i rozpala w chaosie samotne swe męstwo, moc człowieczą, walczącą na otchłaniach metafizycznych ze śmiercią i ujarzmiającą ją na usługi zbiorowego rozwoju ludzkości; Chverina sceptycznie woła: trzymaj się kupy, póki jesteś Chveriną—i przyjmuje ziemię w pył ziemski się zagrzebując. Teofanu, negując pewność nadziemską, niszczy płazy; Chverina, negując tę pewność, niszczy orły. Teofanu nie uznając żadnej władzy ponad sobą, sama stawia zakon i prawo. Chverina wszelki istniejący zakon przestępuje i przez to burzycielstwo gwieździarce pomaga.

Teofanu wszystkich przyszła zniszczyć, przeciw światu całemu jest w zmowie. Ta chce, aby smok pod ziemią zbudził się i przyszedł wszystkie życie pochłonąć. Neguje ona całe życie dane, obiecując wolność w krainie marzeń. Straszne spalają się hekatomby na ołtarzu niewiadomego boga. Ludzkość odradza się z krwi, a ci, co dzierżą tajemnice przeznaczeń, schodzą w mrok samotni, z niewypowiedzianą męką, jak orły oślepłe.

Droga wskazana. Gdzież jej kres, na jakim słońcu jej meta? Nie myśl, choćby najsilniej napięta, zdobędzie tę wiedzę...

Cudowny poemat stworzył Miciński, i przyjdą pić do źródła tego duchy. Będą się truć pod tym pomnikiem Luciferowej pychy i zatrute jadem ognistym -- stawiać po ziemi ze swych trupów poległych w boju — ołtarze Człowiekobóstwa.

Savitri.

TEATR JAPOŃSKI: 1) **W herbaciarni**, 2) **Otake.**

Trupa p. Hanako.

Pani Hanako jest drugą z wielkich aktorek japońskich, która Europie pokazuje sztukę narodową. Jednakże p. H. już stara się dostosować do smaku europejskiego i wiele z istotnych rysów japońskich u niej znikło na korzyść ustępstw dla ludzi białych — i niestety dla złego smaku tych ludzi. Piękne dekoracje, piękne kostjumy, ale dobór sztuk niefortunny. Jako autor dramacików „W herbaciarni" i „Otake" podany jest Sui-Fu. Wtajemniczeni mówią, że pod tą nazwą japońską ukrywa się p. Loïe-Fuller, głośna przed 10 laty tancerka paryska, która odkryła panią Hanako na ostatniej wystawie, jako ludową śpiewaczkę i wydobyła ją na scenę wyższej sztuki. Ona to jej wskazała drogę do teatru i sama zaczęła układać jej libretta do jednoaktówek, przenosząc apaszowskie *faits-divers* paryskie do krainy gejsz i samurajów. Dawniejsza przedstawicielka sztuki japońskiej, pani Sada-Jakko, grała stare prawdziwe japońskie dramaty osnute na tle bohaterstwa i poświęcenia; były to dzieła rycerskie, szlachetne, piękne. O sztukach granych przez panią Hanako powiedzieć tego nie można, jest to świat kurtyzanek, w którym zabójstwo i zemsta, często przypadkowa i bezmyślna, jest głównym motywem.

Pierwsza sztuka „W herbaciarni" jest to historja gejszy (kurtyzany) która do spółki ze swoim kochankiem truje i okrada pewnego rycerza. Służąca dała mu odtrutkę, umierający wraca do siebie, poczym gorejąc zemstą, kolejno zabija wszystkich, nawet biedną dziewczynę, co mu życie uratowała (przez omyłkę).

Druga rzecz *Otake* to dzieje młodej służącej, która przebrała się w suknie swej pani, w domu nieobecnej. Kochanek pani zjawia się, ale mała Otake odwraca się od niego i nie chce z nim mowić. Sądząc się zdradzonym i opuszczonym, kochanek zabija dziewczynę. Jak widzimy, treść obu sztuk niewyszukana. Grana była zresztą znakomicie zarówno w sce-

nach komicznych jak tragicznych. Aktorzy japońscy słyną zwłaszcza w sztuce umierania, p. Hanako inaczej umiera od miecza, inaczej od sztyletu; p. Sato znów umiera na swój sposób od trucizny; nie mniej ciekawa sztuka zmartwychwstania. Drgawki śmiertelne, z wielkim realizmem oddane robią silne wrażenie. To samo rzec można o różnych innych działaniach: np. Otake dobrze oddała scenę dźwigania kosza.

Trupa składa się z czworga osób: pani Hanako i Cho-cho-san, p. Sato i Muracara. Przedstawienie rozpoczęło się konferencją p. Gawalewicza o dramacie japońskim; zdaje się, że prelegient mało się zajmował tym przedmiotem — i przytym potraktował rzecz zbyt protekcjonalnie i lekceważaco.

A. L.

TEATR MAŁY: **Dzieci** — Sztuka p. Żukowskiej (z rosyjskiego).

Sztuka p. Żukowskiej — pomijając liczne pokrewieństwa z Gorkim, z Czechowem i wogóle z piśmiennictwem rosyjskim — przypomina pod wielu względami Ibsena, (*Dzika kaczka*), a najbardziej — i pewnie przypadkowo — świeżo odegraną sztukę Maxa Dreyera *U progu młodości.* W obu utworach głównym motywem jest nieszczęśliwa sytuacja dzieci wobec rodziców, romansujących nielegalnie. Różnica ta, że u Dreyera jest tylko walka ojca i syna, a u pani Żukowskiej dzieje się to hurtownie. Matka romansuje z młodym asystentem swego męża, córka się kocha w tym samym asystencie, ojciec zakochał się w jakiejś młodej bardzo zepsutej pannie Dadzie, która niewątpliwie romansować będzie z jego synem; Dada jest córką osoby, która uciekła od męża. Ostatecznie wszystko się kończy szeregiem małżeństw. Ojciec żeni się z szaloną Dadą, matka wychodzi za lowelasa-asystenta. Dzieci zostają niby w powietrzu: Julek — syn zaczyna pić i hulać, a biedna naiwna Tala nie ma innego wyjścia — jak śmierć samobójczą podobnie jak to czyni Fred w sztuce Dreyera.

Całość, obok pospolitej w sztukach rosyjskich *skuki* i bezsilności życiowej — i nieustannych pytań: „Co robić? jak żyć?" — zawiera dużo powtórzeń i robi wrażenie rzeczy mało oryginalnej, zresztą napisanej dość żywo, choć jest to raczej powieść uscenizowana, niż rzeczywisty dramat. Dodać trzeba, że autorka ułatwiła sobie robotę w ten sposób, że najważniejsze fakty psychologiczne, (np. zdrada Wiery) — odbywają się za sceną w międzyaktach. W akcie I-ym asystent kusi bez skutku Wierę, w akcie II-gim już ich romans doszedł do szczytu, w akcie III-cim już są poślubieni.

Całe dzieje zwycięstwa Don Juana i upadku wiernej żony — odbywają się w antrakcie między odsłoną 1-szą i 2-gą. — Grano sztukę bardzo przyzwoicie; — p. Staszkowski, p. Noskowski oraz p. Kleczyńska — jako Wiera, p. Janecka — jako Tala, pani Kamińska — jako Dada — wydobyli ze sztuki wszystko, co z niej można było wydobyć. P. Ratowski — debiutował szczęśliwie w roli studenta Julka.

Sala była tragicznie pusta.

Z. Kw.

W dniu 4 b. m. jako w rocznicę urodzin Słowackiego Teatr Letni wystawił 6 fragmentów **Złotej Czaszki**. Następnie począwszy od poniedziałku dawano je razem z dramatem Wyspiańskiego **Sędziowie**. Przedstawienia te, tak wysoko wznoszące się ponad zwykłą skalę artystyczną naszych widowisk teatralnych a wykonane z pietyzmem budzącym jednomyślne uznanie krytyki, zostaną obszernie ocenione w następnym numerze *Prawdy*.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* Uroczyste obchody rocznicy Juljusza Słowackiego przybrały imponujące rozmiary w zaborze pruskim, rozszerzyły się nawet na kolonje polskie rozsypane po całych Niemczech. Gromadki oderwanych od pnia ojczystego rodaków w Berlinie i jego okolicach na Warmji, w Saksonji, w Westfalji uczciły pamięć wieszcza odczytami, deklamacjami, przedstawieniami scen z jego utworów dramatycznych... Zebrano też sporo pieniędzy na pomnik Słowackiego w Poznaniu.

Kurjer Poznański widzi w tym „manifestację idealizmu polskiego" „objaw bardzo pożądany w społeczeństwie poznańskim, w którym wskutek ciężkiej walki z giermanizacją na polu ekonomicznym więcej niż gdzieindziej rozpanoszył się gruby materjalizm."

„Ciężka zmora materjalizmu — pisze — przygniotła społeczeństwo polskie pod zaborem pruskim i przyćmiła władze jego ducha, ale tkwiących głęboko w tajnikach naszej psychiki narodowej instynktów idealnych nie zagłuszyła.

Uroczystość Słowackiego u nas, to najwspanialszy dowód, że rdzeń narodu nie uległ giermanizacji, że iskry idealizmu polskiego nie wygasły.

„Pod znakiem Słowackiego zacznijmy pracę nad budzeniem idealizmu polskiego. Niech jasny płomień entuzjazmu, jaki wybuchnął w rocznicę wieszcza tego,będzie potężnym a wiecznym Zniczem usilnej pracy kulturalnej i idejowej nad odrodzeniem narodu."

Ze szczególną radością stwierdza *Kurjer Poznański* gorący udział ludności robotniczej i rzemieślniczej w uroczystych obchodach — przeciwstawiając mu względną obojętność klas zamożniejszych. Zdaje się, że zawsze „idealizm" tam chronić się lubi, gdzie materjalnego nadmiaru niema. Wszakże i u nas stwierdzono niejednokrotnie, że na przedstawieniach arcydzieł poezji naszej tylko najtańsze miejsca zapełniają się szczelnie i stamtąd gorące płyną oklaski, podczas gdy loże świecą pustkami a parter ziewa.

Przegląd Poranny w sprawozdaniu z przedstawienia „Sędziów" pochwala bogatszą publiczność za to jej przezorne omijanie widowisk teatralnych o wysokim artystycznym poziomie, „jest ona bowiem istotnie za głupia, by je zrozumieć."

Wyraża nawet wątpliwość, czy poziom jej umysłowy dorasta do widowisk kabaretowych i kinematograficznych na które uczęszcza.

Z prasy rosyjskiej.

* *Nowa Ruś* z d. 2 września nazywa obecnego ministra Szwarca „ministrem zmniejszania oświaty narodowej."

„Czy potrzebni są Rosji ludzie wyżej wykształceni? pyta *Nowa Ruś*.

W umiarkowanej liczbie — odpowiada p. Szwarc i w tym duchu prowadzi swą szkolną politykę.

W uniwersytecie moskiewskim w ubiegłym roku zapanowała nuda i pustka... minister Szwarc pośpieszył wyciągnąć z tego taki wniosek, że podobną reformę można zaprowadzić i w innych uniwersytetach. I wnet zabrał się z powodzeniem do tej roboty.

W uniwersytecie Charkowskim na 1,800 wakujących miejsc, zapisało się 675 studentów — przyjęto ledwo 408. W Kijowie na 900 zapisanych, przyjęto 650; W Petersburgu na 3,200 wakujących miejsc, było zaledwie 1,500 wpisów.

A więc wszystko w porządku Dotychczas marzyliśmy o rozszerzaniu murów uniwersyteckich, a p. Szwarc w ciągu jednego roku, zostawszy ministrem oświecenia, przy udziale dzielnego swego pomocnika, p. Leona Gregoriewskiego zdołał rozsunąć... ławki w audytorjach — obecnie jeden student od drugiego siedzieć może o sążeń odległości. Co za czystość powietrza zapanuje w salach! Jeszcze rok lub dwa, a będzie można zamknąć połowę uniwersytetów. Jakaż to oszczędność dla skarbu państwowego, a jaki dochód dla zagranicy, gdzie oczywiście odrzuceni od rosyjskich uniwersytetów studenci szukać będą nauki. Wspaniały to minister do zmniejszania oświaty krajowej.

Te pełne gryzącej ironji uwagi *Rusi* nie potrzebują być komentowane. Kryje się w nich straszliwy tragizm upadku społecznego; stanowiska wybitne zajmują ludzie, ignoranci i karjerowicze — nie mający nic wspólnego z ideą. Chociaż zaciemnianie horyzontów jest także pracą ideową — w mrokach bezpiecznie się lęgną i żyją płazy i gady wszelkiego rodzaju.

Polskie Towarzystwo Emigracjne, zamierzając wydać skorowidz polskich organizacji na obczyźnie, zwraca się do osób, którym znane są dokładne adresy polskich towarzystw, bibljotek, kas zapomogowych i t. p. zagranicą, z prośbą o nadsyłanie adresów tych na ręce krakowskiego biura P. T. E. (ul. Kolejowa 3) wraz z wymienieniem o ile możności, składu zarządu danego towarzystwa, ilości jego członków, programu działalności, daty założenia i innych szczegółów.

KRONIKA.

— *Kurjer Poznański* donosi, że obchód rocznicy Słowackiego pod zaborem pruskim przybrał rozmiary, których największy optymista nie mógł przewidywać.

— W Laszczynie pod Rawiczem Towarzystwo Młodzieży Kupieckiej w niedzielę d. 22 sierpnia urządziło wspólną wycieczkę do parku łaszczyńskiego, połączoną z uczczeniem setnej rocznicy urodzin Słowackiego. Odczyt o życiu i dziełach poety wygłosił p. Jan Mrówczyński.

— Tow. Robotników w Wysoce (Ks. Poz. pow. wyrzyski) urządziło obchód Słowackiego. O znaczeniu wieszcza dla Polski mówił ksiądz Skrzypiński z Krostkowa, odczyt wygłosił Jerzy Moczyński z Brzeszkowa.

— Towarzystwo ludowe w Gniewie (Prusy Królewskie) obchodziło w ubiegłą niedzielę w kółku zamkniętym setną rocznicę urodzin Słowackiego. Prezes Towarzystwa p. Brzeski z Jaświsk wypowiedział słowo wstępne, o życiu i dziełach wreszcie mówił p. Leon Formański z Pelplina.

— Komitet obchodu setnej rocznicy urodzin Słowackiego, pragnąc w roku jubileuszowym uprzystępnić jaknajszerszym warstwom znajomość twórczości wieszcza, utworzył sekcję odczytową, która zajmie się urządzeniem szeregu wykładów popularnych, które zostaną wygłoszone w dniu głównej uroczystości obchodowej po szkołach dzielnicowych, podmiejskich czytelniach i towarzystwach. Komitet wszedł w porozumienie z Towarzystwem Szkoły ludowej. Jako prelegientów zaproszono między innymi J. Kallenbacha, I. G. Pawlikowskiego, B. Gubrynowicza, W. Halma, I. Tennera i Janika.

— W d. 17 b. m. odbyła się w Konstantynopolu uroczystość polsko-turecka ku uczczeniu pamięci Adama Mickiewicza przez wmurowanie tablicy pamiątkowej w domu, zamieszkiwanym niegdyś przez poetę. Inicjatywę dał Komitet Jedności i Postępu — uroczystość zatym miała charakter oficjalny. Kolonja polska w całości i zastępy inteligiencji tureckiej uczestniczyły w obchodzie. Przedstawiciel Komitetu Jedności i Postępu Salahedin bej wygłosił piękną mowę na cześć Mickiewicza, wyrażając wielką sympatję dla narodu Polskiego. W imieniu Polaków odpowiadał Gasztowtt, dziękując społeczeństwu tureckiemu za złożenie hołdu polskiemu gienjuszowi i za serdeczne słowa, które w Polsce wdzięcznym odbiją się echem.

— Ze wszystkich stron Polski, od redakcji pism i różnych grup nadeszły telegramy do Krzemieńca, jako do miejsca urodzin Słowackiego. Tamże odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, złożono mnóstwo wieńców na grobie matki poety — wieczorem odbyła się podniosła uroczystość na którą licznie zjechała się okolica.

— *Unser Leben* dał wzmiankę o rocznicy Słowackiego zaznaczając że w Krzemieńcu, odwiedzanym często przez poetę — zostawił on wśród ludności żydowskiej tamże bardzo pochlebne wspomnienie. Inne żydowskie gazety warszawskie nie zamieściły ani słowa z okazji rocznicy urodzin poety.

— Na idący do Rostowa nad Donem pociąg pocztowy dokonano napadu na 6 wiorście przed stacją Smoorskaja. Bandyci w liczbie dziesięciu poprzednio zajęli miejca w II klasie, gdzie kasjer drogi władzy kaukaskiej Biełow wiózł 40 tys. pieniędzy kolejowych. Towarzyszący mu policjant i strażnik zostali poranieni, kasjer ostrzeliwany przez bandytów uciekł po dachach wagonów, dotarł do maszynisty, któremu polecił odłączyć lokomotywę od pociągu. Lokomotywa popędziła do następnej stacji Nagut by dać znać o napadzie. Dotychczas bandyci nie zostali schwytani.

— Puryszkiewicz po powrocie z letnich wywczasów, z niebywałą energją rozpoczyna swą działalność. Wdowa po Herzensteinie otrzymała od niego list, w którym proponuje jej „dla uniknięcia nieprzyjemnych następstw“ zaprzestanie procesu przeciw Związkowi narodu rosyjskiego.

— W Pradze czeskiej wystawiono d. 26 z. m. na scenie teatru Uranja „Mazepę“ Słowackiego. Przekładu tragedji dokonał Franciszek Hovorka, goszczo y niedawno w Warszawie; przed przedstawieniem wypowiedział odczyt o Mazepie i Słowackim, — który licznie zebrana publiczność gorąco oklaskiwała. Podczas przedstawienia orkiestra odegrała różne polskie pieśni, a po każdym akcie oklaskom i okrzykom nie było końca.

— Z więzienia poprawczego warszawskiego uwolniono ostatnią partję uczestników powstania kronsztackiego. Ogółem odsiadywało więzienie w Warszawie 70 marynarzy przez 4 lata.

— Pierwsze posiedzenie komisji budżetowej w Dumie zostało naznaczone na d. 10 września i odpowiednie zawiadomienia zostały rozesłane członkom komisji.

— W gub. Charkowskiej i Kijowskiej mają być pobudowane nowe gmachy więzienne.

— W d. 3 września ogłoszono w Teheranie powszechną amnestję.

— W Pskowie rewizja ujawniła braki w składach intendentury.

— W Petersburgu uwolniono przedterminowo 200 więźniów. Jak wiadomo, z prawa o uwolnieniu przed terminem nie mogą tylko korzystać więźniowie polityczni.

— Ostatnie telegramy przynoszą wiadomość o zakończeniu strejków w Szwecji.

— Dzienniki hiszpańskie zaprzeczają fałszywym wiadomościom podawanym przez pisma zagraniczne, jakoby flota hiszpańska poniosła klęskę i jakoby Hiszpanie d. 29 z. m. w Melilli i Alhucemas utracili 300 ludzi.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.